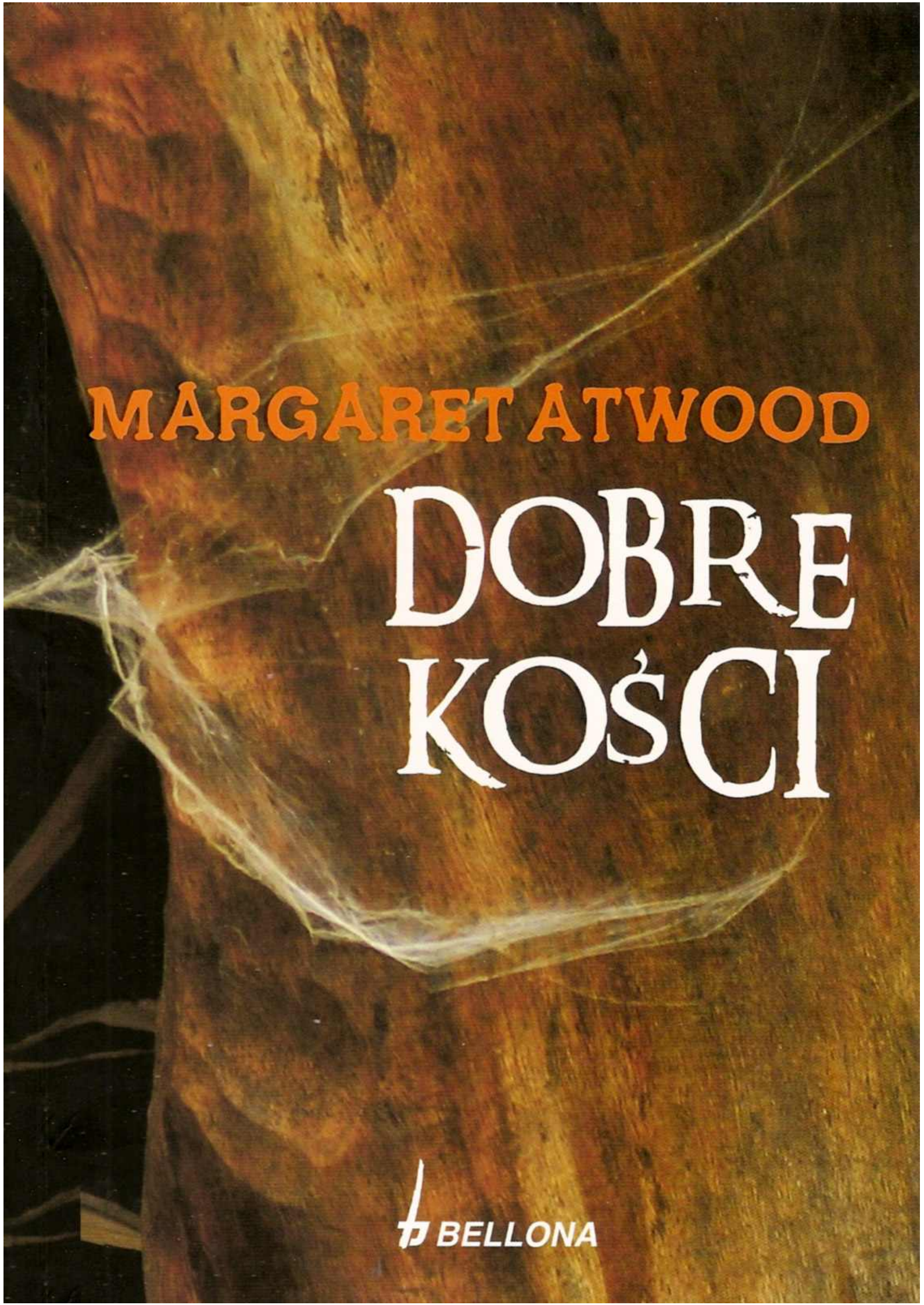
MARGARET ATWOOD
DOBRE KOŚCI
BELLONA

MARGARET ATWOOD

DOBRE KOŚCI

Przełożyła z angielskiego
Anna Żukowska-Maziarska

BELLONA Warszawa

Spis treści

Zła wiadomość 9
Mała czerwona kurka wyznaje całą prawdę 11
Gertruda jest zirytowana 14
Żyła sobie raz 17
Nielubiane dziewczyny 23
Chwalmy panny głupie 29
Ciało kobiety 35
Romans z Raymondem Chandlerem 41
Polowanie na pnie 43
Jak zrobić mężczyznę 46
Epolety 51
Zimnokrwiści 57
Mężczyźni na morzu 61
Obce terytorium 63
Powieść przygodowa 75
Twarda gra 79

Byłam nietoperzem 83
Teologia 91
Anioł 95
Maki. Trzy wariacje 97
O nas 103
Trzecioręczność 109
Sceny śmierci 113
Cztery krótkie akapity 117
Chcemy tego wszystkiego 121
Taniec trędowatych 123
Dobre kości 125

Dla G., jak zawsze, i dla dwóch Angeli

Zła wiadomość

Czerwone pelargonie lśnią na tarasie, wiatr kołysze stokrotkami, oczy niemowlęcia opitego mlekiem pierwszy raz z uwagą wpatrują się w dwa rzędy ukochanych zębów – o czym tu opowiadać? Brak krwi ją usypia. Mości się na dachu, zwija mosiężne skrzydła, pod lewe wtyka głowę ozdobioną fryzurą z uczonych węży i drzemie jak gołąb w południe. Nie ma nic do roboty, może tylko się iskać. Słońce sączy się z nieba, bryza muska jej skórę miękką falą jak ciepłe jedwabne pończochy, serce bije w rytmie skurczów i rozkurczów fal bijących w falochron, nuda oplata ją jak winorośl.

Wie, czego chce: niech się coś stanie, może to być ruch noża, stłuczony kieliszek do wina albo bomba, coś rozbitego. Odrobina zjadliwości, troszkę plotki, nieco zaawansowanej technologicznie śmierci na wielką skalę – coś mocnego, co

ją obudzi. Przejechać czołgiem po pelargoniach, zamienić wiatr w huragan, który pourywa główki stokrotkom i przemknie przez powietrze jak pocisk, zrzucić dziecko z balkonu i patrzeć, jak zanurkuje za nim matka ze splątanymi włosami Ofelii, z rozpostartymi ramionami i bezrozumnym wrzaskiem.

Rozprysk arbuza, bryzgi w barwie pomidora – to jest coś! Już nie śpi, już węszy, skrzydła rozpostarła do lotu. Jest głodna, złapała trop, wyje jak syrena i całkowicie przyciąga twoją uwagę.

Brak wiadomości to dobra wiadomość, wszyscy to wiedzą. Ty też wiesz i lubisz, kiedy jest właśnie tak. Gdy czujesz się źle, skrobie w okno i wpuszczasz ją do środka. Lepiej, że to im, a nie tobie, szepcze ci do ucha. Sadowisz się z powrotem w fotelu i składasz szeleszczący papier.

Mała czerwona kurka wyznaje całą prawdę

Teraz to każdy chce. Każdy! Nie tylko kot, świnia i pies. Koń też chce, i krowa, nosorożec, orangutan, jaszczurka, wombat, dziobak i cała reszta. Koniec z pokojem, a wszystko przez ten przeklęty bochenek chleba.

Nie jest łatwo być kurą.

Znasz moją historię. Pewnie przedstawiano ci ją jako chwalebny wzór postępowania. Rozsądek i harówa po łokcie. Uwierz w siebie. Potem zainwestuj kapitał. Później zbieraj. I ja mam być *tego* ilustracją? Nie rozśmieszaj mnie. Znalazłam ziarnko pszenicy, owszem. I co z tego? Dookoła leży ich mnóstwo. Jak sobie wypatrzysz oczy po łokcie, to też je znajdziesz. Ja znalazłam i podniosłam. Nic w tym złego. Znalezione nie kradzione. Zaoszczędzić

to tak jak zarobić. Trzeba łapać okazję, bo druga może się nie trafić.

Kto mi pomoże zasiać to ziarnko pszenicy, spytałam. *No? Jest chętny?* Czułam się jak ta cholerna sowa.

Ja nie, ja nie, odpowiadali. *W takim razie zrobię to sama*, stwierdziłam, jak zakonnica przekomarzająca się z wibratorem. Nikt mnie nie słuchał, oczywiście. Wszyscy dawno poszli na plażę.

Nie myśl, że to nie bolało, wszystkie te odmowy. Siedziałam na swoim gnieździe ze słomy i płakałam łzami małej czerwonej kurki. Łzami z krwi kurczęcia. Wiesz, jak wygląda, jadasz jej całkiem sporo. Robi się z tego dobry sos do pieczeni.

Czy miałam wybór? No cóż, mogłam zwyczajnie zjeść to ziarnko. Zafundować sobie konsumpcyjną przyjemność. A jednak je posadziłam. Podlewałam. Chroniłam dzień i noc własnym drobnym, opierzonym ciałkiem.

I wyrosło. Niby czemu nie? No i dało więcej ziarenek. Więc je posadziłam. I podlewałam. I zmełłam na mąkę. I w końcu starczyło mi na bochenek chleba. No to go upiekłam. Widziałeś te obrazki, ja w fartuszku małej czerwonej kurki, trzymam końcami skrzydeł bochenek w obłoczku aromatu i uśmiecham się rozkosznie. Uśmiecham się na wszystkich obrazkach na tyle, na ile można się uśmiechać dziobem. A kiedy mówili: ja nie, uśmiechałam się. Nigdy nie wyprowadzili mnie z równowagi.

Kto mi pomoże zjeść ten chleb, spytałam. *Ja*, powiedział kot, i pies, i świnia. *Ja*, powiedziała antylopa. *Ja*, powiedział bawół. *Ja*, powiedziała jaszczurka o pięciu paskach. *Ja*,

powiedziała wesz łonowa. I rzeczywiście. Wyciągały łapy, racice, kopyta, języki, pazury, żuchwy, chwytne ogony. Patrzyły na mnie zaślinionym wzrokiem. Skomlały. Wsuwały błagalne prośby do skrzynki na listy. Wpadały w depresję. Oskarżały mnie o egoizm. Wykazywały objawy. Groziły samobójstwem. Twierdziły, że to moja wina, że mam chleb, a one go nie mają. Wyglądało na to, że każdemu z nich z osobna ten nieszczęsny bochenek był potrzebny bardziej niż mnie.

Możesz upiec więcej, mówili.

I co dalej? Wiem, jak jest w tej historyjce, powinnam powiedzieć: Zjem go sama, więc spadajcie. Nie wierz w ani jedno słowo. W końcu jestem kurą, nie kogutem.

Proszę, powiedziałam. *Po pierwsze, przepraszam za cały ten pomysł. Przepraszam, że miałam szczęście. Przepraszam za samozaparcie. Przepraszam, że jestem dobrą kucharką. Przepraszam za kpiny z zakonnic. Przepraszam za kpiny z kogutów. Przepraszam, że się uśmiechałam, w tym swoim drobnomieszczańskim kurzym fartuszku, drobnomieszczańskim kurzym dziobem. Przepraszam, że jestem kurą.*

Może dokładkę?

Proszę, to mój kawałek.

Gertruda jest zirytowana

Zawsze uważałam, że to był błąd, nadać ci imię Hamlet. Co to w ogóle za imię dla chłopaka? Pomysł twojego ojca. Każde inne byłoby lepsze, tylko nie to imię po nim. Egoista. Dzieciaki w szkole zaszczuły cię na śmierć. Te przezwiska! I te okropne dowcipy o chamach.

Chciałam cię nazwać Jerzy.

Nie *załamuję rąk*. Suszę paznokcie.

Skarbie, zostaw w spokoju moje lustro. Chcesz rozbić trzecie?

Tak, widziałam te obrazki, bardzo ci dziękuję. Wiem, że twój ojciec był przystojniejszy od Klaudiusza. Wysokie czoło, orli nos i tak dalej, świetnie wyglądał w mundurze.

Ale uroda to nie wszystko, zwłaszcza u mężczyzny i choć nie mam zwyczaju mówić źle o zmarłych, myślę jednak, że pora już powiedzieć ci, że twój tatulek nie był taki miły. Szlachetny, owszem, przyznaję. Klaudiusz, cóż, lubi wypić od czasu do czasu. Ceni dobre jedzenie. Potrafi się śmiać, wiesz, co mam na myśli? Człowiek nie musi wiecznie chodzić na paluszkach z powodu jakichś świętoszkowatych zasad czy czegoś podobnego.

Przy okazji, kochanie. Chciałabym, żebyś przestał nazywać swojego nowego tatę *opuchłym królem*. Ma drobne problemy z nadwagą i to rani jego uczucia.

Plugawy pot, niby dlaczego? Moje łóżko na pewno nie jest *zbrukane*, co by o nim nie mówić. Ohydny chlew, rzeczywiście! To nie twoja sprawa, ale zmieniam pościel dwa razy na tydzień, więc częściej niż ty, sądząc po tym nędznym studenckim chlewie w Wittenberdze. Na pewno więcej cię tam nie odwiedzę bez uprzedzenia. Widzę te brudy, jakie przywozisz do domu, zresztą nie można powiedzieć, że za często! Tylko kiedy wydzierają ci się czarne skarpetki.

I pozwól sobie powiedzieć, że każdy się poci w takiej chwili, o czym rychło się sam przekonasz, jeśli zechcesz spróbować. Bardzo dobrze by ci zrobiła prawdziwa dziewucha. Nie taka jak ta ziemista jak-jej-tam, zasznurowana jak świąteczny indyk w tym swoim niedotykalskim gorsecie. Jeśli chcesz znać moje zdanie, z tą pannicą jest coś nie tak. Stoi na krawędzi. Jeden mały wstrząs i przeleci na drugą stronę.

Znajdź sobie jakąś bardziej przyziemną. Pokotłuj się z nią na sianie. A potem pogadamy o ohydnych chlewach.

Nie, mój drogi, nie *wściekam się* na ciebie. Choć muszę stwierdzić, że czasem jesteś obrzydliwym kołtunem. Zupełnie jak twój tatulek. Grzeszne ciało, mawiał. Myślałby kto, że to psia kupa. Można to wybaczyć komuś młodemu, oni zawsze są nietolerancyjni, ale u człowieka w jego wieku to się stawało, no, bardzo trudne do wytrzymania, najdelikatniej mówiąc.

Czasami myślę, że lepiej byłoby dla nas obojga, gdybyś nie był jedynakiem. Ale zdajesz sobie sprawę, komu powinieneś za to podziękować. Nie masz pojęcia, co musiałam znosić. I za każdym razem, kiedy chciałam, no wiesz, rozgrzać trochę swoje stare kości, czułam się, jakbym namawiała go do morderstwa.

Och, co takiego wymyśliłeś? Że to Klaudiusz zamordował twojego tatę? No, nic dziwnego, że jesteś dla niego taki niegrzeczny przy kolacji.

Gdybym o tym wiedziała, powiedziałabym ci z miejsca i bez ogródek.

To nie był Klaudiusz, mój drogi.

To ja.

Żyła sobie raz

– Za górami, za lasami żyła sobie raz biedna dziewczynka; była piękna i dobra i mieszkała ze złą macochą, w domku w lesie.

– *W lesie?* Las jest passé, mam już po uszy tej dziczy. To nie jest prawdziwy obraz dzisiejszego społeczeństwa. Wolałbym dla odmiany coś z miasta.

– Za górami, za lasami żyła sobie raz biedna dziewczynka; była piękna i dobra i mieszkała ze złą macochą w domku na przedmieściu.

– Już lepiej. Ale mam poważne wątpliwości co do słowa *biedna.*

– Przecież była biedna!

– Biedna to pojęcie względne. Mieszkała w domu, prawda?

– Tak.

– Więc ze społeczno-ekonomicznego punktu widzenia nie była biedna.

– Ale nie miała żadnych pieniędzy! Cały sens tej historii polega na tym, że zła macocha kazała jej nosić stare ubrania i spać pod kominkiem...

– No proszę! Miały *kominek*. Pozwól sobie zwrócić uwagę – biedni nie miewają kominków. Przejdź się do parku, zajrzyj w nocy na stację metra, zobacz, jak ludzie śpią w tekturowych pudłach, a dowiesz się, co znaczy *biedni*.

– W takim razie za górami, za lasami żyła sobie raz dziewczynka z klasy średniej, piękna i dobra...

– Stop. Sądzę, że możemy wyrzucić *piękna*. Nie uważasz? Kobietom i tak bez przerwy podsuwa się dziś frustrujące wzorce fizyczne, nie mówiąc już o tych laskach z reklam. Nie mogłaby być, no wiesz, bardziej przeciętna?

– Za górami, za lasami żyła sobie raz dziewczynka z nadwagą i odrobinę wystającymi zębami, która...

– Żarty z czyjegoś wyglądu nie wydają mi się na miejscu. Poza tym zachęcasz do anoreksji.

– Ja wcale nie żartowałem! Po prostu opisuję...

– Daruj sobie opisy. Są męczące. Możesz za to powiedzieć, jakiego była koloru.

– Jak to – koloru?

– No wiesz. Czarna, biała, czerwona, brązowa, żółta. Taki jest wybór. Ja osobiście, jeśli chcesz wiedzieć, mam dość białych. Dominująca kultura tu, dominująca kultura tam...

– Nie wiem, jakiego koloru.

– No, to chyba byłby twój kolor, prawda?

– Ale to nie jest *o mnie*! Piszę o tej dziewczynce...

– Zawsze jest o tobie.

– Widzę, że nie chcesz słuchać tej historii.

– Och dobrze, jedź dalej. Może pochodzić z jakiejś mniejszości. Tak byłoby lepiej.

– Za górami, za lasami żyła sobie raz dziewczynka nieokreślonego pochodzenia, przeciętnie wyglądająca i dobra, która mieszkała ze złą...

– Kolejna sprawa. *Dobra* i *zła*. Czy nie mógłbyś oszczędzić sobie tych purytańskich, osądzających, moralizatorskich epitetów? Uważam, że w ten sposób utrwalasz odruch wartościowania. Nie sądzisz?

– Za górami, za lasami, żyła sobie raz dziewczynka przeciętnej urody, dobrze przystosowana; mieszkała ze swą macochą, osobą niezbyt miłą i kochającą, bo molestowaną w dzieciństwie.

– Lepiej. Ale mam już dość tych negatywnych wizerunków kobiet. I macoch, które zawsze wali się po głowie. Zamień to na *ojczyma*. To zresztą miałoby więcej sensu, biorąc po uwagę zachowania, które zamierzasz opisywać. I wstaw tam jakieś bicze i łańcuchy. Wiadomo, jacy są ci pokręceni, stłamszeni faceci w średnim wieku...

– *Hej, chwileczkę!* Ja też jestem *w średnim wieku*...

– Odczep się. Nie wtykaj do tej historii swoich trzech groszy. Rozmawiamy między sobą, prawda? Dalej.

– Za górami, za lasami żyła sobie raz dziewczynka...

– Ile miała lat?

– Nie wiem. Była młoda.

– Na końcu jest ślub, tak?

– Nno, nie chciałbym zdradzać fabuły, ale – tak.

– W takim razie możesz zrezygnować z tych protekcjonalnych paternalistycznych określeń. To *kobieta*, stara. *Kobieta.*

– Za górami, za lasami, żyła sobie raz...

– Jak to: *żyła sobie raz*? Przeszłość jest martwa. Mów o tym, co *teraz.*

– Za górami, za lasami...

– No?

– Co no?

– No, dlaczego nie: *tutaj*?

Nielubiane dziewczyny

1.

Każdy ma swoje pięć minut, więc teraz pora na mnie. Tak w każdym razie mówiono nam w przedszkolu. Nie jest to całkiem prawda. Jednym te pięć minut trafia się częściej, innym rzadziej, a mnie nie zdarzyło się ani razu! Nawet nie wiem, jak się mówi *ja*, albo *moje*, jestem *ona*, *jej*, *tamta*; od dawna.

Nie nadano mi nawet imienia, zawsze byłam tylko *brzydką siostrą*, z naciskiem na *brzydką*. Taką, na którą matki patrzyły, a potem odwracały wzrok i lekko kręciły głową. Zniżały głos albo w ogóle cichły, kiedy wchodziłam do pokoju, w ładnej sukience, z grobową i gniewną miną. Starały się powiedzieć coś, co uratowałoby sytuację – *cóż, istotnie jest silna* – ale wiedziały, że to na nic. Ja też.

Nienawidziłam ich litości i wymuszonej dobroci. I tej świadomości, że czego bym nie zrobiła i nie wiem jak ciężko pracowała, nigdy nie będę piękna. Nie tak jak ona. Wystarczyło, żeby siedziała i przyjmowała hołdy. Dziwisz się, że wbijałam szpilki w niebieskie oczy lalek i wyrywałam im włosy, aż były całkiem łyse? Nie ma sprawiedliwości na tym świecie. To dlaczego ja mam być sprawiedliwa?

A jeśli chodzi o księcia, sądzisz, że go nie kochałam? Bardziej niż ona, ponad wszystko. Mogłabym dać sobie odciąć rękę. Albo kogoś zabić. Owszem, ukryłam się pod grubym welonem, żeby zająć jej miejsce przy ołtarzu. Tak jest, wyrzuciłam ją przez okno i naciągnęłam kołdrę na głowę, udając, że jestem nią. Każda by to zrobiła na moim miejscu.

Ale cała ta moja miłość skończyła się źle. Rozgrzane do czerwoności trzewiki, beczki nabijane gwoździami. To jest takie uczucie. Nieodwzajemniona miłość.

Miała też dziecko. Ja nigdy.

Ja także pragnęłam tego wszystkiego, czego i ty chciałaś od życia.

2.

Proces o zniesławienie, to jest myśl. Skończyć z tą bzdurą. Oskarżają mnie o wszystko co najgorsze tylko dlatego, że

jestem stara, żyję samotnie i niedowidzę. Gotowanie i jedzenie dzieci, no wyobrażasz sobie? Co za pomysły! A jeśli nawet rzeczywiście kilkoro zjadłam, to czyja to wina? Rodzice umyślnie zostawiali te dzieciaki w lesie, chcieli się ich pozbyć. Kto nie marnuje, temu nie brakuje – to zawsze było moją dewizą.

Tak czy inaczej składali mi ofiary, tak to widzę. Kiedyś dawali mi dorosłych, i mężczyzn, i kobiety, dobrze utuczonych sezonowymi przysmakami. Dostarczali ich w porze siewów i żniw. Symbolika może odrobinę prostacka, a same wydarzenia – można by rzec – ciut niesmaczne, ale ludzie mieli dobre serca. W zamian sprawiałam, że wszystko kiełkowało, rosło, wzbierało i dojrzewało.

Później mnie schowali, wyrzucili na strych, pomarszczoną, wyschniętą i pozawijaną w zatęchłe szmaty. Cholera, przecież miałam piersi! I to więcej niż dwie. Dużo. Zastanawiałeś się kiedykolwiek, dlaczego w dawnych czasach w przypadku takich kobiet jak ja trzeci cycek był niezbitym dowodem?

Albo dlaczego tak często pokazują mnie w ogrodzie? Przepięknym ogrodzie, w którym rosną apetyczne rzeczy. Morwy. Kapusta. Roszponka, cokolwiek to znaczy. I wszystkie te ciężarne kobiety gramolące się na mur w świetle księżyca, by pożreć moją płodność, nie dając niczego w zamian. Gdybyście byli obiektywni, przyznalibyście, że to kradzież.

W dawnych czasach tego się nie spotykało. Życie było wtedy darem, a nie czymś, co można ukraść. To był dar

ode mnie. Rozdawałam go na ziemi i w morzu, a ludzie byli mi wdzięczni.

3.

To prawda, nigdy nie ma złych ojczymów. Tylko grupka tchórzliwych wdowców, którzy pozwalają mi bezkarnie znęcać się nad ich córkami. Ale gdzie oni są, kiedy każę tym dziewczynom harować w kuchni albo wysyłam je w zadymkę ubrane w lekkie sukienki? Pracują do późna w biurze. Uchylają się od odpowiedzialności. Mężczyźni! Jeśli jednak myślisz, że nic o tym nie wiedzą, masz źle w głowie.

Problem z dobrymi córkami polega na tym, że są takie dobre. Posłuszne i bierne. Płaczliwe, dodałabym. Bez odrobiny zapału. Co by z nich wyrosło, gdyby nie ja? Właśnie, nic. Jedyne, co by w życiu robiły, to sprzątanie, które, jak się zdaje, zajmuje sporo miejsca w tych opowieściach. Wyszłyby za mąż za jakiegoś chłopa, urodziły siedemnaścioro dzieci i doczekały się napisu „oddana żona" wyrytego na grobie. Jeśli w ogóle. Wielkie mi coś!

Rozkręcam wszystko, uruchamiam. „Idź pobawić się na jeździni", mówię im. „Włóż tę leciutką sukienkę i poszukaj truskawek w śniegu". To perwersja, ale działa. Jedyne, co muszą zrobić, to uśmiechnąć się, powiedzieć *hello* i zrobić coś tam w domu dla jakichś krasnoludków albo miłych dam czy

kogoś w tym rodzaju – i bingo, dostają królewicza i pałac, i koniec z myciem garów.

A na mnie zawsze zwala się winę.

Bóg to wszystko wie. Nie ma diabła, nie ma wygnania z raju, nie ma odkupienia. Prosta sprawa.

Możecie wycierać mną podłogę, przekręcać moje motywy jak wam się żywnie podoba, możecie przywiązać mi do szyi kamień młyński i utopić mnie w rzece, ale nie możecie wyrzucić mnie z opowiadania. Ja jestem fabułą, dziecinko, nigdy o tym nie zapominaj.

Chwalmy panny głupie

Popieprzone istoty, kurze móżdżki, idiotki blondynki: tępe nastolatki, zbyt głupie, by słuchać matek:
te, które mają we łbie tylko materac,
wytworne kelnerki, które życzą nam miłego dnia i mylą się w wydawaniu reszty, poprawiając w lustrze burzę loków,
które kąpią swoje pieski i suszą je w mikrofalówce,
które wierzą, kiedy chłopcy mówią im, że guma do żucia z chlorofilem jest środkiem antykoncepcyjnym,
które nerwowo obgryzają paznokcie, bo nie wiedzą, czy bardziej chciałyby, czy boją się,
które nie wiedzą, jak się pisze *chciałaby*,
które radośnie śmieją się z głupich dowcipów, takich jak ten, choć nie łapią puenty.

One są z innej planety, mówimy czule. Też mi odkrycie!

Jeśli potrafią żyć w świecie innym niż ten, to i dobrze! My też wolałybyśmy tu nie mieszkać.

Zresztą tak naprawdę wcale tu nie żyją, ponieważ takie kobiety są fikcją, wymyśloną przez innych, ale równie często przez siebie same, choć nawet głupie kobiety nie są aż tak głupie jak udają – udają, by zdobyć miłość.

Mężczyźni kochają je, bo potrafią sprawić, że nawet głupi mężczyzna poczuje się bystrzakiem; kobiety kochają je z tego samego powodu,

a także dlatego, że dzięki nim przypominają im się wszystkie głupoty, które same popełniły,

ale głównie dlatego, że gdyby nie one, nie byłoby opowiadań.

Nie byłoby opowiadań! Wyobraźcie sobie świat bez opowieści!

A przecież właśnie tak by się stało, gdyby wszystkie kobiety były mądre.

Panny mądre opatrzyły swoje lampy i napełniły je oliwą, a pan młody przyszedł po prostu normalną drogą i zapukał do drzwi wejściowych, gdy nadeszła pora kolacji.

Żadnego hałasu, żadnego zamieszania, no i nie ma o czym opowiadać.

Bo i co można powiedzieć o pannach mądrych, tych bezbarwnych wzorach cnót?

Gryzą się w język, starają się nie mądrzyć, same sobie szyją ubrania,

zdobywają pozycję zawodową, robią wszystko jak należy, i to bez wysiłku.

Są na swój sposób nieznośne – nie mają wad, o których warto pisać,
uśmiechają się mądrze, jak ludzie, którzy zbyt dobrze znają się na rzeczy; zbyt wiele wiedzą o nas i naszych głupotach.
Podejrzewamy, że czasem mają niedobre serca.
Są zbyt bystre. Dla nas, niestety, zbyt bystre.

Panny głupie natomiast nie pilnują swoich lamp:
i kiedy pojawia się pan młody, i dzwoni do drzwi,
śpią w łóżkach, więc musi włazić do środka przez okno –
wtedy ktoś wrzeszczy, ktoś się o coś przewraca, ktoś myli osoby,
jest więc pościg i stłuczka, i mnóstwo interesującej wrzawy,
a nic z tych rzeczy by się nie zdarzyło, gdyby te dziewczyny nie były niespełna rozumu.

Ach, ta Odwieczna Głupia Kobieta! Z jakim zachwytem o niej słuchamy:
jak wysłuchuje oszukańczych i przekonujących bredni węża,
i w końcu zjada promocyjną próbkę jabłka z Drzewa Wiadomości,
dając w ten sposób początek teologii, albo otwiera puszkę-niespodziankę zawierającą całe ludzkie zło, ale jest na tyle głupia, by wierzyć, że Nadzieja będzie czymś w rodzaju pocieszenia.
Rozmawia z wilkami, nie zdając sobie sprawy, co to za bestie:
Dlaczego cię do tej pory nie poznałem, pytają. *Dlaczego siebie do tej pory nie poznałam,* odpowiada.
My wiemy! Wiemy! I umiemy poznać się na wilczej naturze!

Uważaj!, krzyczymy do niej cichutko, myśląc o wszystkich tych sprytnych rzeczach, które zrobilibyśmy na jej miejscu.
Ale nie może nas usłyszeć, bo jest uwięziona w białych kartkach, więc idzie tanecznym krokiem ku swemu przeznaczeniu, podskakując i niewinnie szczebiocząc.
(Niewinność! Być może to jest klucz do głupoty, mówimy sobie samym, przekonanym, że już dawno jej się wyzbyliśmy).
Jeśli przed czymś ucieknie, to wyłącznie szczęśliwym trafem albo dzięki bohaterowi – ta dziewczyna sama niepotrafiłaby wyrwać się nawet z papierowej torebki.

Czasami bywa głupio odważna, czasem równie głupio przestraszona.
Żądni kazirodztwa ojczymowie gonią ją przez zrujnowane krużganki,
gdzie dała się zwabić podstępami tak prostymi, że nie oszukałyby chomika.
Na widok myszy wrzeszczy – dzwoniąc zębami biegnie przez groźny świat – ale bieganie wymaga nóg i jest pozbawione wdzięku – umyka raczej.
Umyka nie dotykając ziemi, za każdym razem skręca nie tam gdzie trzeba,
w ciemności – szal z białego szyfonu; a my umykamy razem z nią.
Nie ma rodziców ani dobrych ciotek, podejmuje więc niewłaściwe decyzje małżeńskie
i musi ujść sznurom, ostrym nożom, rozwścieczonym psom, kamiennym wazom na kwiaty spadającym z balkonów,

wycelowanym w jej skołataną głowę przez układnych, złych mężów, pożądających jej pieniędzy i krwi.
Nie użalajcie się nad nią, kiedy stoi tak bezradnie załamując ręce –
strach jest jej zbroją.
Spójrzmy prawdzie w oczy, to ona jest naszym natchnieniem! Muzą idiotką!
A także natchnieniem dla mężczyzn, oczywiście. Po cóż by układano sagi o herosach,
o ich boskiej sile i nadludzkich czynach,
jeśli nie po to, by wzbudzić podziw kobiet, które uważa się za tak głupie, że w to uwierzą?
Skąd wzięło się pięć wieków miłosnej liryki,
nie wspominając już o płaczliwych suplikacjach, rozmaitych muzycznych jękach i zawodzeniach?
Adresowanych wprost do kobiet na tyle głupich, by dały się skusić!
Kiedy piękna kobieta upada albo daje się wplątać w jakieś głupoty,
tłumacząc, że miała dobre intencje i chciała się spodobać,
i zostaje wykorzystana, zwłaszcza przez kogoś znanego,
to jeśli jest odpowiednio głupia albo cwana, daje się przyłapać, tak jak w klasyce powieściowej,
trafia na łamy tabloidów, zmieszana i zapłakana,
a stamtąd wprost do naszych serc.
Wybaczamy ci! Wołamy. *Rozumiemy! Zrób to jeszcze raz! Bis! Bis!*

Obłudna czytelniczko! Moja bratnia duszo! Siostro!
Chwalmy panny głupie,
które dały nam Literaturę.

Ciało kobiety

...całkowicie oddany tematowi „ciała kobiety".
Wiedząc, jak znakomicie pisze pani na
ten temat ... temat tak obszerny...
list z „Michigan Quarterly Review"

1.

Zgadzam się, ciało jest tematem fascynującym. Czy tylko jedno? Rozejrzyj się, jest tu ich pełny wybór. Moje ciało to także temat.

Wstaję rano. Mój temat czuje się koszmarnie. Zraszam go wodą, czyszczę niektóre jego części, wycieram ręcznikiem, posypuję i smaruję. Dorzucam paliwa, i oto mój temat wychodzi, aktualny, kontrowersyjny i obszerny; kulejący i krótkowzroczny, mój temat, który ma problemy z kręgosłupem, mój

temat, który się źle zachowuje, jest wulgarny i skandalizujący, mój temat, który się starzeje, nie wchodzi w rachubę i wciąż robi błędy ortograficzne, w za dużym płaszczu i znoszonych botach, pędzi chodnikiem, jakby był tylko człowiekiem, w pogoni za czymś tam, za awokado, radnym, przymiotnikiem, głodny jak zwykle.

2.

Podstawowemu Ciału Kobiety towarzyszą następujące akcesoria: pas do pończoch, majtki obciskające, krynolina, stanik, turniura, biustonosz, bawet, kombinacja, szpilki, kółko w nosie, welon, rękawiczki z koźlej skórki, siatkowe pończochy, chustka na szyję, opaska na włosy, gorset, chusteczki, naszyjniki, spinki do włosów, bransoletki, koraliki, lornetka teatralna, boa ze strusich piór, mała czarna, puderniczka, rajstopy z lycry z klinem, peniuar z domu mody, flanelowa koszula nocna, koronkowe body, łóżko, głowa.

3.

Ciało kobiety zrobione jest z przejrzystego plastiku i rozjarza się, kiedy podłączysz je do gniazdka. Po wciśnięciu guzika zapalają się różne systemy. W układzie krążenia serce i tętnice są czerwone, żyły fioletowe; układ oddechowy jest niebieski, limfatyczny – żółty, pokarmowy – zielony, z niebieskawozieloną wątrobą i nerkami. Nerwy są poma-

rańczowe, mózg różowy. Szkielet, jak należało oczekiwać, jest biały.

Układ rozrodczy stanowi dodatek i można go usunąć. Pojawia się z malutkim embrionem lub bez. Decyzja należy do rodziców. Nie chcemy nikogo straszyć ani obrażać.

4.

Nie życzę sobie niczego takiego w domu, powiedział. To narzuca dziewczynkom fałszywe pojęcia o urodzie, nie mówiąc o anatomii. Gdyby prawdziwa kobieta była tak zbudowana, przewróciłaby się na twarz.

Jeśli zabronimy jej tego, co mają wszystkie dziewczynki, powiedziała ona, poczuje się inna. Powstanie problem. Będzie jej pragnąć, będzie marzyć, że się w nią zamieni. Wyparcie rodzi sublimację. Wiesz przecież.

Nie chodzi nawet o te sterczące plastikowe cycki, stwierdził, ale o garderobę. Garderobę i tę idiotyczną lalkę chłopaka, jak mu tam, tego z przyklejoną bielizną.

Lepiej mieć to za sobą, mówi ona, póki jest mała.
Dobrze, ale nie każ mi na to patrzeć.

Świsnęła z góry po schodach jak strzała. Kompletnie naga. Miała wyrwane włosy, głowę przekręconą do tyłu, brakowało

jej paru palców, a całe ciało pokrywał wymalowany w zawijasy fioletowy tatuaż. Rąbnęła w doniczkę z azalią, zadrżała przez moment jak poroniony anioł i znieruchomiała.

Chyba nic nam nie grozi, powiedział.

5.

Ciało kobiety ma wiele zastosowań. Używa się go jako kołatki, otwieracza do butelek, zegara z tykającym brzuchem, jako czegoś, co podtrzymuje abażur, jako dziadka do orzechów – po prostu ściskasz mosiężne nogi i wychodzi orzech. Utrzymuje pochodnie, dzierży wieńce zwycięstwa, zapuszcza sobie miedziane skrzydła i unosi nad sobą krąg neonowych gwiazd; całe budowle spoczywają na jego marmurowych głowach.

Sprzedaje samochody, piwo, płyn po goleniu, papierosy, alkohole; oferuje diety cud i brylanty, i pożądanie w maleńkich kryształowych flakonikach. Czy to właśnie twarz wprowadza na rynek tysiąc produktów? Założyłabyś się, że tak, ale nie wyobrażaj sobie za wiele, kochanie, takich uśmiechów jest na kopy.

Nie tylko pomaga w sprzedaży, ale też jest sprzedawane. Pieniądze płyną do tego czy innego kraju, przylatują, wręcz pchają się w grubych portfelach, zwabione gładkością młodziutkich, dziewczęcych nóg. Słuchaj, chciałabyś

przecież zmniejszyć dług publiczny, prawda? Jesteś w końcu patriotką. O to chodzi! Zuch dziewczynka.

Jest zasobem naturalnym, na szczęście odnawialnym, ponieważ szybko się zużywa. Nie robią go dziś tak jak kiedyś. Tandeta.

6.

Jeden plus jeden równa się jeszcze jeden. Przyjemność u samicy nie jest konieczna. Więź między partnerami silniejsza jest u gęsi. Nie mówimy o miłości, tylko o biologii. Stąd się wszyscy wzięliśmy, córciu.

Ślimaki robią to inaczej. To hermafrodyci, działają trójkami.

7.

Każde ciało kobiety zawiera mózg kobiety. To rzecz przydatna. Sprawia, że wszystko gra. Wetknij szpilkę, a osiągniesz zdumiewające rezultaty. Stare przeboje. Krótkie spięcia. Złe sny.

Tak czy inaczej, każdy z tych mózgów składa się z dwóch połówek. Połączone są ze sobą grubym sznurem; bodźce nerwowe przepływają z jednej części do drugiej, błyski informacji elektrycznej krążą tam i z powrotem. Jak światła na falach. Jak rozmowa. W jaki sposób kobieta zdobywa wiedzę? Słucha. Wsłuchuje się.

Mózg mężczyzny to coś zupełnie innego. Połączenie jest cieniutkie. Przestrzeń tu, czas tam, muzyka i arytmetyka w osobnych, zamkniętych przegródkach. Prawa półkula nie wie, co robi lewa. To dobre przy celowaniu, przy uderzaniu w cel, kiedy naciskasz spust. Co jest celem? Kto jest celem? Kogo to obchodzi? Ważne, żeby trafić. Oto mózg męski. Konkretny.

To dlatego mężczyźni są tak smutni, dlatego czują się odizolowani, jak sieroty wyrzucone na bruk, jak ptaki, wolne, bez zobowiązań i w pustce. Jakiej pustce, mówi ona. O czym ty mówisz? Pustce Wszechświata, on odpowiada, a ona mówi, och, i patrzy przez okno i usiłuje pojąć, ale to nie ma sensu, zbyt wiele się dzieje, liście za bardzo szeleszczą, za wiele głosów, więc mówi, czy masz ochotę na kanapkę z serem, na ciasto, na filiżankę herbaty? A on zaciska zęby, bo ona nie rozumie, i znika, bardziej niż samotnie, bo Samotnie, zagubiony w ciemności, zagubiony we własnej czaszce, w poszukiwaniu drugiej połówki, bliźniaka, który by go uzupełnił.

I wtedy nawiedza go myśl: stracił ciało kobiety! Patrz, świeci w mroku, gdzieś daleko, symbol integralności, dojrzałości, jak ogromny melon, jak jabłko, jak metafora piersi w marnej pornograficznej powieści; lśni jak balon, jak zamglone południe, jak księżyc wróżący deszcz, migocze w owalu światła.

Złap je. Zamknij w domku z piernika, w wysokiej wieży, za płotem, w komnacie, w domu, w pokoju. I teraz szybko smycz, zamek, łańcuch, odrobina bólu, załatw to tak, żeby już nigdy więcej nie mogło od ciebie uciec.

Romans z Raymondem Chandlerem

Romans z Raymondem Chandlerem, cóż za rozkosz! Nie z powodu okaleczonych ciał, zapijaczonych gliniarzy i szczypty ekscentrycznego seksu, ale z racji jego zainteresowania meblami. On wie, że mebel oddycha i czuje – nie tak jak my, ale w sposób bardziej stłumiony i cichy, jak słowo *wypchany*, w którym jest stęchlizna i kurz, woń słonecznego światła na zetlałej tkaninie albo zapach wytartej skóry na oparciu i siedzeniu ordynarnego biurowego krzesła. Myślę o mocno wypchanych kanapach, pokrytych atłasem, bladoniebieskim jak oczy jego chłodnych, jasnowłosych, bezcielesnych, zbrodniczych kobiet o pulsie bijącym tak powoli jak serca zahibernowanych krokodyli, o szezlongach z podstępnymi poduszkami. Znał się też na trawnikach w ogrodzie, na szklarniach i na obiciach wnętrz samochodów.

Oto jak się potoczy nasz romans. Spotkamy się w hotelu albo w motelu, drogim czy tanim, to nie ma znaczenia. Wejdziemy do pokoju, zamkniemy drzwi na klucz i będziemy oglądać meble, gładzić zasłony, przesuwać dłońmi po fałszywych złoceniach ram obrazów, po prawdziwym marmurze luksusowej łazienki czy popękanej glazurze tandetnej umywalki w toalecie, wdychać zapach dywanów, zastarzałego dymu z papierosów, rozlanego dżinu, szybkiego, nieważnego seksu, a może ciężką, mocną woń owalnych, przezroczystych mydełek importowanych z Anglii – to nieistotne, liczyć się będzie to, jak zareagujemy na meble i jak one nas przyjmą. A kiedy już obwąchamy, obmacamy, wygnieciemy ciałami i wchłoniemy w siebie sprzęty, spleciemy się w uścisku i padniemy na łóżko (wielkie łoże? w kolorze brzoskwini? skrzypiące? wąskie? z baldachimem? nakryte patchworkową kapą? obite żółtozieloną szenilą?), gotowi wreszcie robić to samo ze sobą.

Polowanie na pnie

1.

Dzikie zwierzęta najchętniej udają martwe pnie. Ileż to razy przelatujesz z rykiem motorówką albo wiosłujesz w canoe i na widok sterczącego z wody pnia mówisz sobie: „To wygląda jak zwierzę".

Jak sama głowa, oczywiście. Płynąca.

A potem, kiedy się przybliżasz, okazuje się, że to tylko pień.

Nie daj się zwieść! Zazwyczaj jest to naprawdę zwierzę.

Oto, co powinieneś zrobić.

Strzel mu wprost między oczy, czy też tam, gdzie twoim zdaniem oczy powinny się znajdować. Zginie, ale nie zrzuci swego przebrania i będzie nadal udawać pień.

Następne zadanie – wyciągnij je z wody. Może się to okazać trudne, bo będzie uparcie trzymać się dna za pomocą czegoś, co wygląda jak korzenie. Możesz potrzebować piły łańcuchowej, długiego kawałka liny i łodzi o mocnym silniku. Kiedy wreszcie zdołasz to odciąć i wyrwać, odholuj zwierzę do brzegu i podjedź do niego samochodem.

Nie będzie żadnych śladów krwi.

Daj mu trochę obeschnąć. Będzie nadal udawać, że jest ciężkim i nasiąkniętym wodą pniem. Upchnij je w bagażniku albo na dachu furgonetki i starannie przymocuj. Zawieź do miasta. Inni myśliwi, wiozący łosie, niedźwiedzie, jelenie czy nawet jeżozwierze, będą się śmiać i pukać w czoło, ale pamiętaj: ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Kiedy przywieziesz je do domu, rozbierz mięso na podwórku, posługując się ponownie piłą łańcuchową i schematem krowy. Nadal będzie wyglądać jak drewno. Ale nie daj się oszukać.

Zawiń befsztyki, żeberka i kotlety w folię i włóż do zamrażarki. Gdyby żona zadawała ci jakieś pytania albo wygłaszała pogardliwe uwagi na temat twojej poczytalności, powiedz jej,

żeby nie wtykała nosa w nie swoje sprawy. A nawet zacytuj jej Biblię: *Wszelkie ciało to jakby trawa.*

Kiedy zamarzy ci się wielka uczta z daniem mięsnym, wyjmij befsztyk z zamrażarki i rozpal piecyk na gaz lub węgiel drzewny, przygotuj patelnię albo grilla. Teraz zwierzę będzie musiało ujawnić swą prawdziwą naturę! Dopraw befsztyk – polecamy odrobinę sosu barbecue – i wrzuć go na ogień.

Jeśli nadal jest drewnem, pomyliłeś się. Masz pecha. Spomiędzy tysięcy martwych pni wybrałeś akurat ten jeden, który rzeczywiście nie jest zwierzęciem.

Spróbuj później jeszcze raz.

2.

Ryby najczęściej udają owalne kamienie leżące na dnie potoków.

Jak zrobić mężczyznę

W tym miesiącu robimy sobie przerwę. Odkładamy na bok szydełkowanie bikini i smakołyki z resztek, by dać naszym czytelniczkom kilka porad, jak we własnej kuchni i salonie stworzyć rzecz praktyczną i dekoracyjną. Oto coś, co dobrze wygląda na przykład na trawniku, udając, że pracuje, albo w fotelu. Może też leżeć na brzuchu albo stać prosto. Pamiętajcie, by pokryć go czymś, co będzie kolorystycznie harmonizowało z zasłonami!

Gdy się zużyje, można go pokryć na nowo i wykorzystać jako stoper do drzwi.

1. Metoda tradycyjna

Weź trochę prochu ziemi. Uformuj. Tchnij w nozdrza życie. Proste, ale skuteczne!

Nie zapominaj, że mężczyźni zrobieni są z prochu, a kobiety z żeber. Pamiętaj o tym podczas następnego barbecue party!

Czy powinnaś wyposażyć swego mężczyznę w pępek? Autorytety polecające tradycyjną metodę są temu przeciwne. My osobiście polecamy, bo pępek stanowi eleganckie wykończenie. Użyj w tym celu kciuka.

2. Metoda piernikowa

Weź dowolny, sprawdzony przepis na ciasto, ale jeśli chcesz, by produkt miał więcej życia, dodaj sporo imbiru; tak zwykle robią nasze czytelniczki, które wybierają tę metodę. Oczy i guziki robimy z rodzynków, można też użyć małych dekoracyjnych srebrzystych kuleczek z cukru, pod warunkiem że będziemy uważać, by nie złamać na nich zęba.

Kiedy już wyjmiesz swojego mężczyznę z piekarnika, możesz mieć kłopoty z utrzymaniem go przy sobie. Faceci wykonani w ten sposób lubią odjeżdżać w siną dal na motocyklach lub bez nich, okradają przy okazji minimarkety, tatuują się, podskakują i śpiewają: „Masz chłopca z piernika, łap go, gdy ci zmyka". Przywiązanie sznurka do nogi przed pieczeniem może pomóc, ale, niestety, z naszych doświadczeń wynika, że nie na długo.

Jedno niewątpliwie przemawia za tą metodą – tacy faceci są przepyszni! Smacznego!

3. Metoda odzieżowa

Ubranie czyni człowieka! Ile razy to słyszałaś?

Cóż, święta prawda! Ale choć ubranie robi człowieka, to kobiety – na ogół – robią ubrania, w związku z czym odpowiedzialność za wykończony model spoczywa na domowej krawcowej.

Użyj dobrego wykroju i wytnij według wzoru. W przeciwnym wypadku twój mężczyzna będzie postrzępiony i pomarszczony. Zdekatyzuj tkaninę, inaczej wyjdzie mniejszy, niż zakładałaś. Najpierw zszyj zaszewki, pamiętaj, by brzuch był porządnie wciągnięty, bo później będziesz żałować! Uważaj na suwaki. Źle umieszczony suwak może spowodować poważne problemy w użytkowaniu. Odmienność jest zabawna, ale wszystko ma swoje granice!

Możesz wybrać wersję sportową albo oficjalną; jeśli nie potrafisz się zdecydować, zrób obie i używaj wymiennie. Zadbaj, by w domu było dużo luster. Wykonani tą metodą mężczyźni uwielbiają lustra – tak samo jak papużki faliste! Pewna wyjątkowo pomysłowa czytelniczka uszyła całego mężczyznę z gumy. Potem użyła pompki rowerowej. Efekt był niewiarygodny!

4. Metoda marcepanowa

Często wydaje nam się, że łatwiej kontrolować mężczyznę niewielkiego wzrostem. Oto nasza propozycja – mały trzpiot, którego można postawić na dłoni!

Zminiaturyzowany pan młody w eleganckim garniturze, stojący zwykle na torcie weselnym, wymaga dokładnego wykończenia w detalach, warto jednak sięgnąć po pędzelek i barwniki spożywcze i poświęcić trochę czasu, by ujrzeć gotowy produkt, który uśmiechnie się do nas ze zwodniczą uprzejmością z najwyższej, piankowej warstwy Super Lukru w Siedem Minut!

Nie podoba nam się modny ostatnio zwyczaj zastępowania oryginalnych wyrobów cukrowych plastikiem. Głównie dlatego, że plastik nie sprawdza się, gdy macie ochotę – a nam się to czasem zdarza – wsunąć jednego z tych eleganckich diabełków do ust i zlizać mu ubranie.

5. Metoda etnograficzna

Widujesz tych przystojniaczków przed różnymi domami, mają małe wiatraczki przymocowane do głów. Biją małymi młotkami, piłują małymi piłami albo po prostu intensywnie machają rękami, kiedy powieje silny wiatr od morza. Mogą też dla odmiany stać nieruchomo, trzymając uzdę, latarnię albo wędkę. Czasem są ubrani jak krasnoludki. Niby dlaczego nie mogłabyś zmajstrować sobie takiego miłego facecika na własny użytek? Nic nie stoi na przeszkodzie! Powlecz tylko swojego mężusia gipsem modelarskim i...

Epolety

Kiedy w końcu wojna stała się zbyt niebezpieczna, a co ważniejsze, zbyt kosztowna dla wszystkich, światowi przywódcy spotkali się nieoficjalnie, by wymyślić coś zastępczego.

– Pytanie brzmi – powiedział pierwszy z nich – jakim celom służyła wojna, którą prowadziliśmy?

– Napędzała produkcję w określonych dziedzinach gospodarki – stwierdził jeden z obecnych.

– Pokazała wyraźnie, kto jest zwycięzcą, a kto przegranym – dodał drugi – i pozwoliła ludziom oderwać się od nudnej i banalnej codzienności.

– Ekspansja terytorialna – oświadczył inny. – Uprzywilejowany dostęp do kobiet i innych pożądanych dóbr.

– To było podniecające – dorzucił czwarty. – Coś ryzykowaliśmy.

– No dobrze – podsumował pierwszy – to są więc korzyści, które musi zapewnić nasz środek zastępczy.

Na początku skupili się na sporcie i potoczyła się ożywiona dyskusja. Bejsbol, koszykówka i krykiet odpadły jako niepoważne. Lepiej brzmiały propozycje dotyczące futbolu i hokeja, póki nie okazało się, że żaden z obecnych nie wytrzyma nawet dwóch minut na murawie czy na lodzie. Jeden z przywódców, który interesował się archeologią, przypomniał dawną grę Majów; mecze rozgrywano na zagłębionych boiskach, a przegrywającemu uroczyście obcinano głowę, ale zasady tej gry nie są dziś do końca znane.

– Idziemy w złym kierunku – powiedział przywódca pochodzący z jednego z mniejszych państw. – Dajmy sobie spokój z hałaśliwymi grami. Powinniśmy myśleć jak ptaki.

– Ptaki? – spytali inni, z uśmiechem uprzejmym w przypadku starszych i bardziej makiawelicznych narodów i nie tak grzecznym w wykonaniu narodów młodszych i mniej obytych.

– Gody ptaków – odpowiedział mówca. – Samce, w wymyślnym i jaskrawo kolorowym upierzeniu, kroczą dumnie, śpiewają, stroszą pióra i wykonują tańce. Obserwujące je samiczki wybierają zwycięzców. Jest to prosta i, dodajmy, melodyjna metoda rywalizacji, wiele więc za nią przemawia. Dodam też, panowie, że sprawdza się w przypadku ptaków.

Wielkie mocarstwa były przeciwne tej propozycji, ponieważ postawiłaby ich przywódców na mniej więcej równej stopie z przedstawicielami mniejszych państw. Z tego samego powodu mniejsze państwa uznały ją za odpowiednią, a ponieważ było ich więcej niż wielkich mocarstw, rezolucja została przegłosowana.

I tak doszło do tego szczęśliwego stanu rzeczy, którym cieszymy się dzisiaj. Raz w roku, w kwietniu, rozpoczynają się decydujące spotkania. Chmary świergoczących i wyczekujących kobiet tłumnie zapełniają boiska piłki nożnej, krykieta i peloty na całym świecie. Każda zaopatrzona jest w urządzenie do głosowania, z przyciskami od 0 do 10. Przywódcy świata rywalizują w sześcioosobowych grupach; zwycięzca przechodzi do kolejnej rundy, aż wreszcie pozostaje tylko jeden, najlepszy ze wszystkich.

Przez następny rok mężczyźni ze zwycięskiego kraju korzystają z pewnych przywilejów, w tym prawa do nieco złagodzonej formy grabieży (tylko w domach towarowych, i to wyłącznie w poniedziałki), głośnego składania zamówień i walenia w stół w restauracjach, zmuszania ludzi ze wszystkich innych państw, by pochlebczo śmiali się z ich dowcipów, randek na zasadach preferencyjnych, gratisowych biletów do teatru oraz dwóch dni gwałtów i rabunków, zakończonych rytualnym pijaństwem na ulicach. (Ponieważ wszyscy wiedzą, kiedy przypadają te dwa dni, ludzie zabijają po prostu okna deskami i wyjeżdżają na weekend). Zwycięzcom przysługuje też korzystniejszy kurs walut i najlepsze interesy w przetwórstwie rybnym. Każdy kraj używa przywilejów zwycięzcy tylko przez rok, a jako że w następnym roku kolej przychodzi na inne państwo – wszyscy to wiedzą, kobiety zaś tego pilnują – mężczyźni sami zdają sobie sprawę, że lepiej nie posuwać się do skrajnych form rozpustnych zachowań.

Rywalizacja odbywa się w kilku kategoriach. Każda z nich ma przemawiać do kobiecej natury, choć pojawiają się pewne

trudności z dokładnym określeniem, co to takiego. Trzeba było na przykład zrezygnować z konkurencji „aromat", w której wypuszczano na widownię skondensowane powiewy woni przepoconych skarpetek zawodników, cygar, starych podkoszulków itp., bo zbyt wiele kobiet dostawało mdłości. Pozostają natomiast: obrzucanie wyzwiskami, prężenie muskułów i pojedynki na szpanerskie ciuchy. A także opowiadanie dowcipów, bo wiadomo, że kobiety wolą mężczyzn obdarzonych poczuciem humoru, w każdym razie zawsze tak mówią. Ponadto należy zaśpiewać piosenkę, zatańczyć – wystarczy akompaniament fletu lub wiolonczeli solo – i odpowiedzieć na pytanie na inteligencję. Każdy z przywódców musi też przedstawić swoje hobby i zadeklarować, w popisowym przemówieniu, co zamierza w przyszłości zrobić dla dobra ludzkości. Ten element cieszy się wielkim powodzeniem, wywołując mnóstwo chichotów i braw.

Najlepszy jest pokaz w mundurach, podczas którego zawodnicy maszerują po bieżni w takt puszczanej z płyt muzyki orkiestry dętej. Ileż kolorów, jakie girlandy złotych galonów, cóż za konstelacje blaszanych gwiazd! Minęły czasy stonowanego khaki, a nawet marynarskiego granatu – żyjemy w epoce pawia. Epolety rozdęły się do imponującej długości i szerokości, olśniewające nakrycia głowy pokryły się piórami i wstążkami. Branża mody dostała potężny impuls rozwoju.

Nowy system wyłonił nowy typ światowego lidera. Po pierwsze, jest młodszy. Porusza się lekko. Jest bardziej muzykalny. I zabawniejszy.

Dokonuje się też rewizja historii. Przestały się liczyć śmiałe militarne podboje, śmierć na wielką skalę, ludobójstwo i podobne symbole konkwistadorskiej waleczności. Nastąpiła zmiana kryteriów. Obecnie mówi się, że Napoleon wykazywał objawy zespołu katatonicznego w tańcu salonowym, a Stalin nosił źle uszyte mundury i kompletnie nie umiał śpiewać.

Zimnokrwiści

Do moich sióstr, Tęczowych, Nosicielek jaj, O mozaikowych oczach, pozdrowienia z Planety Moli.

Udało nam się w końcu nawiązać kontakt z tutejszymi istotami, które najbardziej przypominają nas umiejętnością komunikowania się, życiem w koloniach i tworzeniem technologii, choć pozostają nadal na poziomie rudymentarnym.

Podczas pierwszych obserwacji „krwistych", bo tak ich nazwałyśmy od barwnego, czerwonego płynu znajdującego się w ich ciałach, do którego najwyraźniej przywiązują duże znaczenie w wierszach, wojnach i obrzędach religijnych, podejrzewałyśmy, że są pozbawieni zdolności mowy, jako że okazy, które mogłyśmy zbadać, nie posiadały żadnych narządów komunikacji. Nie miały pokryw skrzydłowych, którymi mogłyby pocierać i cykać – co więcej, w ogóle nie miały skrzydeł; nie miały też żuwaczek do rozrywania, a metoda chemiczna jest im nieznana, ponieważ są pozbawione czułków. „Węch"

jest dla nich sprawą drugorzędną, narząd węchu sprowadza się do spłaszczonego, tępego wyrostka z przodu głowy. Po jakimś czasie stwierdziłyśmy jednak, że wydawane przez nie bezładne piski i stękania, zwłaszcza przy ukłuciu, są w rzeczywistości jakąś formą języka. Od tej chwili nasze badania ruszyły szybko z miejsca.

Wkrótce ustaliłyśmy, że swoją planetę, którą nazwałyśmy Planetą Moli od najpłodniejszego i najbardziej interesującego rodzaju, istoty te określają mianem Ziemi. Uważają one, że ich przodkowie zostali zrobieni z tworzącej ją substancji; tak w każdym razie twierdzą liczne z ich uroczych, choć irracjonalnych ludowych podań.

Usiłując wyznaczyć jakąś wspólną płaszczyznę, spytałyśmy, o jakiej porze roku kojarzą się w pary, a potem pożerają swoich samców. Wyobraźcie sobie nasze zakłopotanie, gdy okazało się, że osobniki, z którymi rozmawiałyśmy, są samcami! (Bardzo trudno określić różnicę między nimi, ponieważ ich samce nie są drobniejsze, tak jak u nas, lecz właśnie większe. Nie mając naturalnej urody – wspaniałych wzorzystych pancerzy, przeźroczystych skrzydeł, świecących oczu itp. – starają się naśladować nasz rodzaj, umieszczając na swoich ciałach rozmaite, wielobarwne zasłony kryjące ich części rozrodcze).

Przeprosiłyśmy za nietakt i zapytałyśmy o ich zwyczaje seksualne. Przedstawcie sobie nasze obrzydzenie i wstręt, kiedy okazało się, że najcenniejszy jest u nich samiec, a nie nosicielka jaj! Zapewne wyda się to wam, siostry, nienormalne, ale ich przywódcami są najczęściej samce, co można tłumaczyć stanem charakterystycznego dla nich względnego barbarzyń-

stwa. Inną wartą odnotowania osobliwością jest fakt, że choć często i na wiele różnych sposobów zabijają swoje samice, rzadko pożerają je po akcie prokreacji. Jest to marnowanie białka, ale też ich społeczność odznacza się marnotrawstwem.

Pospiesznie porzuciłyśmy ten bolesny temat.

Następnie spytałyśmy, kiedy się przepoczwarzają. I tu znów, podobnie jak w przypadku „ubrania", czyli zasłon, o których wspominałyśmy, odkryłyśmy niezdarną próbę naśladowania naszego rodzaju. W bliżej nieokreślonym momencie swego cyklu życiowego każą się umieszczać w sztucznych kokonach czy też poczwarkach z kamienia albo drewna. Wyznają pogląd, że pewnego dnia wstaną z nich w odmienionej postaci, co przedstawiają symbolicznie, rzeźbiąc swoje sylwetki z dodatkiem skrzydeł. Nie zaobserwowałyśmy jednak żadnego takiego przypadku.

Należy w tym miejscu wspomnieć, że obok wielu gatunków moli, którym planeta zawdzięcza nadaną jej przez nas nazwę, żyje tu ogromna obfitość odmian istot przypominających naszych własnych, dawnych przodków. Wygląda na to, że któraś z naszych wcześniejszych prób kolonizacji – tak odległa w czasie, że nie znalazła odbicia w kronikach – najwyraźniej przyniosła efekty. Stworzenia te, choć liczne i odznaczające się pomysłowością, mają małe rozmiary, a ich organizacja społeczna jest prymitywna; próby nawiązania z nimi kontaktu nie przyniosły – w każdym razie do tej pory – większych sukcesów. Istoty krwiste są do nich nastawione wrogo, stosują wobec nich różne trujące opryskiwacze, pułapki i tym podobne środki, a także groźne ręczne urządzenie zwane packą na muchy. Widok tego narzędzia tortur i śmierci używanego

przez wielkich i rozjuszonych przeciw małym i bezbronnym jest przejmujący, ale normy dyplomacji nie pozwalają nam na interwencję. (Na szczęście krwiści nie rozumieją tego, co o nich mówimy między sobą w naszym języku).

Jednak nasi dalecy krewni, przeciw którym skierowano tak wielką machinę zniszczenia, mimo wszystko radzą sobie nadspodziewanie dobrze. Żywią się uprawami, zwierzętami hodowlanymi, a nawet ciałem istot krwistych, mieszkają w ich domach, pożerają ich ubrania, ukrywają się i świetnie sobie żyją po prostu w szparach ich podłóg. Kiedy krwiści w końcu nadmiernie się rozmnożą, co najwyraźniej jest ich zamiarem, albo wytępią się nawzajem, możecie być pewne, że nasz rodzaj, który już teraz góruje nad nimi liczbą i zdolnościami przystosowawczymi, gotów będzie objąć należne mu z natury panowanie.

Ten dzień przyjdzie, choć jeszcze nie jutro. Jak wiecie, siostry, nasza rasa od bardzo dawna wykazuje ogromną cierpliwość.

Mężczyźni na morzu

Gadając o kobietach można zagadać się na śmierć. W restauracjach, kawiarniach, kuchniach, rzadziej w barach i pubach, o krewnych, o związkach, o stosunkach, chorobach, pracy, dzieciach, mężczyznach; o niuansach, przeczuciach, oznakach, intuicji, odcieniach; o nich samych i o sobie nawzajem; o tym, co on jej powiedział i co ona jej powiedziała i co ona na to odpowiedziała; o tym, co czują.

W takim razie coś bardziej wyrazistego, widocznego, jakaś akcja, jakieś osuszenie wewnętrznego bagna, wymiecenie wewnętrznych paprochów spod wewnętrznego łóżka, wyostrzenie obrazu. Mężczyzna na morzu, na przykład. Okręt podwodny odpada, bo zbyt klaustrofobiczny i śmierdzący, ale coś bardziej rześkiego, słone morskie powietrze, zimna woda na zahartowanym ciele, rany i siniaki, huragany, męstwo, a przede wszystkim żadnych kobiet. Zamiast kobiet jest woda, wiatr i ocean, zmienny i zdradliwy; mężczyzna musi sobie

radzić, sterować, żeglować, wybierać wodę, więc sięgasz po poradnik, bo tu na morzu ważne jest to, co on powiedział jemu, albo nie powiedział, oczy zwężone, mierzysz łajdaka wzrokiem, nim skoczysz, nóż w bebechy, lecz nadchodzi fala, trzymaj się wanty, zęby zaciśnięte, mięśnie naprężone. Albo przemykasz się ukradkiem po trapie, zaułkiem, drogą, główną drogą, Mleczną Drogą, w ciemności, oczy ci świecą jak tarcze zegarków, a gąszcze, baryłki, luki odpływowe, rowy śmierdzą od wrogów, a ty w pogoni za adrenaliną i łupem. Trupy, twoje dzieło, rozpływają się za tobą, kiedy docierasz do pieczary, do opuszczonego miasta, do sejfu, do ruchomej ściany, dziury w ziemi, i już jesteś bogatszy niż w najśmielszych snach!

I co teraz? Wydaj to na jakąś kobietę, w restauracji. Jestem tam, znów przy tym odwiecznym stole, który po to istnieje, by mogła oprzeć na nim łokcie, nad kieliszkiem wina, gdy on mówi. Co mówi? Opowiada, jak dotarł tutaj, do niej. A ona pyta: Ale co czułeś?

On przewraca dziko oczami, w mgnieniu oka próbuje myśleć o czymś innym, kaktus, morświn, nigdy się nie zdradzaj, podczas gdy uwodzicielskie fale wypiętrzają dywan pod stopami, a świeży wiatr buszuje wśród obrusów. Wszyscy są wokół niej, a ona widzi to teraz – po jednym na stolik i na kobietę. Mężczyźni, na morzu.

Obce terytorium

1.

Czuje, że jest na nieznanym terytorium. To nie jego grunt – jest tu obcy. Słuchaj! Rwą czerwone rzeki, szeleszczą młode liście, w mroku, zawsze w mroku, pod ciemnymi gwiazdami i przy szuu-szuu, szuu-szuu, ciężkim, kojącym szumie morza, który staje się – tak! – dźwiękiem bębnów tubylców, bach, bach, głośniej, szybciej, ciszej, wolniej. Czy są wrogo nastawieni? Nie wiadomo, bo ich nie widać.

Śpi i budzi się, budzi się i śpi, i nagle jest tylko ruch i cierpienie, i strach, i z trudem łapie powietrze wypchnięty gwałtownie w oślepiające światło, w miejsce jeszcze bardziej niebezpieczne, gdzie trudno o żywność, a nad jego drewnianym więzieniem pełni straż dwóch olbrzymów. Krzyczy z całych sił, szarpie pręty, ale nikt nie przybywa, żeby go

wypuścić. Jeden z olbrzymów jest hałaśliwy, porośnięty włosiem i ma wielki kij; drugi porusza się ciszej, ma za to dwie duże wypukłości, których egoistycznie nie chce odczepić i oddać jemu. Żadne z nich nie jest do niego podobne, a język, jakim się porozumiewają, jest niezrozumiały.

Obcy! Co robić? Co gorsza, układają wokół niego zwierzęta – niedźwiedzie, króliki, koty i żyrafy, wypchane i najwyraźniej wykastrowane, bo choć ogląda je ze wszystkich stron, mają co najwyżej ogon. Czy jemu też przygotowują taki los?

Skąd przybyłem?, to pytanie powtórzy jeszcze wiele razy. Ze mnie, mówi czule to wypukłe, jakby miało mu to sprawić przyjemność. Skąd? Z czego? Zatyka uszy, nie dopuszcza do siebie nieprawdy, wstydu, rozlazłej okropności. To nie do pomyślenia, tego nie da się znieść!

Nic dziwnego, że przy pierwszej okazji wyskakuje przez okno i przyłącza się do bandy innych odkrywców, wygnańców, imigrantów jak on. Razem wyruszają na swoje samotne wyprawy.

Czego szukają? Ojczyzny. Prawdziwej. Miejsca, z którego przybyli, a którego na pewno tu nie ma.

2.

Wszyscy ludzie stworzeni zostali jako równi, jak powiedział ktoś, kto był albo wielkim optymistą, albo szydercą.

Iluż zmartwień można byłoby uniknąć, gdyby trzymał język za zębami.

Zygmunt mylił się co do pierwotnej sceny – podglądania mamy i taty. Fakt, że może to być denerwujące, ale oto wersja inna:

Pięciu facetów stoi na dworze i siusia w zaspę, do rzeki, w zarośla, udając, że nie patrzą w dół. A może – nie patrząc w dół – gapią się w górę, na gwiazdy, i tak rodzi się astronomia. Byle uniknąć porównań, które są nie tyle obrzydliwe, co zatrważające.

Nie tylko astronomia – fizyka kwantowa, inżynieria, technologia laserowa, wszystkie liczby od zera do nieskończoności. Coś bezpiecznie abstrakcyjnego, oddzielonego od ciebie; przeniesienie tej obsesji związanej z rozmiarem na wszystko wokół. Boże, mierzą co tylko się da: wysokość Wielkiej Piramidy, przyrost paznokcia, mnożenie się wirusów, piasek w morzu, liczbę diabłów na końcu szpilki. A stąd tylko mały krok do dowodzenia, że Bóg jest równaniem matematycznym. Nie osobą. Nie ciałem, broń Boże. Takim jak twoje, związane z ziemią. Niewymierny, nie ma rozmiaru, więc nie czuje bólu.

Kiedy masz chandrę, gwiżdż. Mierz. Tylko nie patrz w dół.

3.

Historia wojen jest historią zabitych ciał. Bo tym właśnie jest wojna: jedne ciała zabijają inne i same są zabijane.

Niektóre z zabijanych ciał należą do kobiet i dzieci, można powiedzieć, że to efekt uboczny. Opad radioaktywny, szrapnel, napalm, gwałt i przebijanie, miny przeciwpiechotne. Ale większość zabitych ciał to mężczyźni. Tak jak większość tych, którzy zabijają.

Dlaczego mężczyźni chcą zabijać ciała innych mężczyzn? Kobiety nie chcą zabijać ciał innych kobiet. Na ogół. O ile nam wiadomo.

Oto niektóre z odwiecznych przyczyn. Łupy. Terytorium. Żądza władzy. Hormony. Wysoki poziom adrenaliny. Wściekłość. Bóg. Sztandar. Honor. Słuszny gniew. Zemsta. Ucisk. Niewolnictwo. Głód. Obrona własnego życia. Miłość lub pragnienie ochronienia kobiet i dzieci. Przed czym? Przed ciałami innych mężczyzn.

Tym, czego mężczyźni boją się najbardziej, nie są lwy ani węże, ciemność ani kobiety. Już nie. Tym, czego mężczyźni boją się najbardziej, jest ciało innego mężczyzny. Ciała mężczyzn to najniebezpieczniejsza rzecz na świecie.

Z drugiej strony można powiedzieć, że mężczyźni w ogóle nie mają ciała. Spójrzcie na kolorowe czasopisma! Na okładkach magazynów dla kobiet są ciała kobiet. Na okładkach magazynów dla mężczyzn są ciała kobiet. Kiedy na okładce pojawiają się mężczyźni, to znaczy, że jest to pismo o pieniądzach albo o wydarzeniach na świecie. O inwazjach, odpalaniu rakiet, przewrotach politycznych, stopach procentowych, wyborach, przełomach w medycynie. O *rzeczywistości*. Nie o *przyjemnościach*. W takich pismach pokazuje się tylko głowy, ponure, gadające, podejmujące decyzje, czasem tylko wstydliwie mignie odrobina, rąbek garnituru. Skąd mamy wiedzieć, że pod tym stonowanym, prążkowanym wyrobem krawieckim jest jakieś ciało? Nie wiemy. Zresztą może go tam nie ma.

Jakie stąd płyną wnioski? Że kobiety to ciała z przymocowanymi głowami, a mężczyźni to głowy, do których przyczepiono ciała? Albo i nie, różnie bywa.

Możesz jednak mieć ciało, jeśli jesteś gwiazdą rocka, sportowcem albo gejowskim modelem. To, jak mówiłam, *przyjemność*. Posiadanie ciała nie jest rzeczą całkiem poważną.

5.

Rzecz w tym, że ciałom mężczyzn nie można ufać. Raz można, raz nie, i tyle, jeśli chodzi o siłę woli. Mężczyzna jest marionetką w rękach swego ciała albo na odwrót. Robią z siebie nawzajem durniów; ciało go zawodzi. Albo go zdradza, w niewłaściwym momencie. Więc odwróć wzrok, patrz gdzieś za okno w klasie i recytuj tabliczkę mnożenia, udając, że nic się nie dzieje! Przynajmniej twarz możesz mieć nieruchomą. Już lepiej mieć tresowanego psa, który będzie robił to, co chcesz, w dziewięciu przypadkach na dziesięć.

Druga sprawa: ciała mężczyzn można dzielić. Weźmy choćby historię rzeźby: określone fragmenty utrąca się bardzo łatwo, w wyniku rewolucji, pruderii albo po prostu transportu, przyklejając w zastępstwie liście figi albo winorośli, a w północnym klimacie – klonu. Mężczyzna szybko rozstaje się ze swoim ciałem. W dawnych czasach mężczyzną zostawało się przez krew. Przez nacięcia, tatuaże, drzazgi drewna, przez braterstwo krwi znoszone bez drgnięcia powieki. Przez lanie, które spuszczali starsi chłopcy w salach sypialnych, drewnianą łopatką, wystruganą pod przymusem przez ofiarę. Udręki się zmieniały, ale pozostawały udrękami. *To chłopiec*, wołają z radością. *Obetnijmy mu coś!*

Co rano na kolanach dziękuję Bogu, że nie uczynił mnie mężczyzną. Skazanym na nieobliczalność. Tak bardzo

zdanym na samego siebie. Tak skłonnym do smutku. Który musi przyjmować to jak mężczyzna. I nie może udawać.

W przestrzeni między pragnieniem i inscenizacją, rzeczownikiem i czasownikiem, zamiarem i ciosem, *chcieć* i *mieć*, rodzi się współczucie.

6.

Sinobrody uciekł z trzecią z sióstr, inteligentną, choć piękną, i zamknął ją w swoim pałacu. *Wszystko tu należy do ciebie, kochanie*, powiedział. *Nie otwieraj tylko tych małych drzwiczek. Dam ci wprawdzie klucz, liczę jednak na to, że go nie użyjesz.*

Wierzcie albo nie, ta siostra go kochała, choć wiedziała, że jest seryjnym mordercą. Błąkała się po pałacu, nie zwracając uwagi na klejnoty, jedwabne suknie i stosy złota. Przejrzała za to apteczkę i kuchenne szuflady w poszukiwaniu klucza do jego niepowtarzalnej osobowości. Kochała go, dlatego chciała go zrozumieć. Chciała też go uleczyć. Sądziła, że jej dotyk leczy.

Niewiele jednak znalazła. W garderobie były garnitury i krawaty, dobrane do nich buty, a także ubrania sportowe, stroje do golfa, rakieta tenisowa i dżinsy na wypadek, gdyby chciał grabić liście. Nic nadzwyczajnego. Nic perwersyjnego ani groźnego. Nie da się ukryć – była nieco rozczarowana.

Całkiem łatwo znalazła jego poprzednie kobiety. Były w bieliźniarce, starannie pokrojone, wyprasowane i zwinięte, przełożone naftaliną i lawendą. Kawalerowie łatwo uczą się takich gospodarskich umiejętności. Kobiety nie zrobiły na niej większego wrażenia, poza jedną, która wyglądała jak jego matka. Tę wyjęła włożywszy uprzednio gumowe rękawiczki i wsunęła do ogrodowego pieca, w którym palono śmiecie. *Może to jego matka*, pomyślała. *Jeśli tak, krzyżyk na drogę.*

Przeczytała cały wielki zbiór jego książek kucharskich i gotowała potrawy z najbardziej zaczytanych, wytłuszczonych stron. Przy kolacji był wcieleniem uprzejmości, odsuwał jej krzesło, dolewał wina i prowadził konwersację o tym, co wydarzyło się w ciągu dnia. Delikatnie wspomniała, że chciałaby porozmawiać o jego uczuciach. Odparł, że nawet gdyby miał jakieś uczucia, nie chciałby o nich rozmawiać. To ją zaciekawiło. Była w nim teraz zakochana bardziej niż kiedykolwiek i zaintrygowana jak nigdy.

Dobrze, pomyślała. *Wszystkiego już próbowałam; zostały tylko te drzwiczki. Dał mi przecież klucz.* Odczekała, aż wyszedł do biura, czy dokąd tam chodził, i poszła wprost do małych drzwiczek. Cóż zobaczyła, kiedy je otwarła? Martwe dziecko. Małe, martwe dziecko z szeroko otwartymi oczami.

To moje, powiedział stając za nią. *Urodziłem je. Ostrzegałem cię. Nie byłaś ze mną szczęśliwa?*

Podobne do ciebie, stwierdziła, nie odwracając się, nie wiedząc, co ma mówić. Nagle uświadomiła sobie, że nie jest zdrowy psychicznie w żadnym znanym jej rozumieniu tego słowa, wciąż jednak miała nadzieję, że uda jej się wyjść z tego dzięki perswazji. Czuła, jak miłość się z niej ulatnia. Serce miała jak z lodu.

To ja, powiedział ze smutkiem. *Nie bój się.*

Dokąd idziemy?, spytała, bo zrobiło się ciemno i nagle pod stopami nie czuła już podłogi.

Głębiej, odparł.

7.

Co za faceci. Dlaczego kobiety ich kochają? Nie mają niczego do zaoferowania, żadnej ze zwykłych rzeczy. Krótkie chwile uwagi, rozrzucone ubrania, stare zdezelowane samochody, albo i to nie. Samochody się psują, więc próbują je naprawiać, ale im nie wychodzi i dają sobie spokój. Idą na długie spacery, z których zapominają wrócić. Wolą chwasty od kwiatów. Opowiadają trywialne kłamstewka. Pokazują niezdarne sztuczki z pomarańczami i kawałkami sznurka, w rozpaczliwej nadziei, że ktoś się roześmieje. Nie zarabiają na chleb. Nie robią pieniędzy. Nie robią, nie umieją, nie mogą.

Oferują nic. Jedno wielkie nic, niebo przesłonięte śnieżycą, ciemną przerwę między jednym i drugim księżycem. Oferują swoje ubóstwo, pustą drewnianą miseczkę, miseczkę żebraka, który ma dar proszenia. Zajrzyj do niej, głęboko, gdzie możliwości kłębią się jak dym, a usłyszysz wszystko. Nic jeszcze nie zostało powiedziane.

Mają jednak ciała. Ich ciała nie są podobne do ciał innych mężczyzn. Są werbalizowane. *Usta, oko, ręka, stopa*, mówią. Ich ciała mają swój ciężar i poruszają się po ziemi, krok po kroku, jak wasze. Tak jak wypławią się w gorącym słońcu, jak wy zdumiewają się porankiem, jak wyczują smak wiatru, jak wy śpiewają. *Miłość*, mówią, i w tej chwili to właśnie czują, tak jak i wy. Mogą też powiedzieć *pożądanie* i *wstręt*, inaczej byście im nie wierzyły. Zdarza się, że mówią najgorsze rzeczy, jakie mogłybyście sobie wyobrazić. Otwierają zamknięte drzwi. I wszystko to robią po nic.

Czasem wpadają w gniew. Czasem ogarnia ich rozpacz, oblewa jak szary atrament, wymazuje pamięć, unieruchamia na metalowych kuchennych krzesłach, przy zamkniętych oknach, przez które całymi latami wyglądają na ceglane ściany nieczynnych fabryk. Ale nic jest ciągle z nimi, dotrzymuje danego im słowa, i to od niego odbierają przesłania:

Ból, mówią, i nagle ich ciała znów czują ból, jak prawdziwe. *Śmierć*, mówią, a wymawiane przez nich słowo brzmi jak odpływ fali. Ich ciała umierają i migoczą, i obracają się we mgłę. Ale potrafią istnieć w dwóch światach jednocześnie

– zagubieni na ziemi lub pochłonięci przez płomienie – i tutaj. W tym pokoju, kiedy jeszcze raz ich wypowiesz, ich własnymi słowami.

Tylko dlaczego kobiety ich lubią? Nie *lubią* – chciałam powiedzieć: *uwielbiają.* (Pamiętajcie, że mimo wszystko, mimo tego, co powiedziałam, zardzewiałe samochody, wyświechtana garderoba, brak śniadań i beznadzieja pozostają bez zmian).

Bo jeśli potrafią wypowiedzieć własne ciała, potrafią też opowiedzieć twoje. Ponieważ mówią *skóra* tak, jakby to coś znaczyło, nie tylko dla nich, ale i dla ciebie. Ponieważ pewnej nocy, kiedy sypie śnieg i nie widać księżyca, kładą swoje puste dłonie, dłonie pełne ubóstwa, dłonie żebraków, na twoim ciele i uwielbiają je, i mówią ci, że jest zrobione ze światła.

Powieść przygodowa

Tę historię opowiadali nasi przodkowie, a także ci, którzy żyli jeszcze wcześniej, przed nimi. I nie jest to tylko opowieść, ale coś, czego rzeczywiście kiedyś dokonali; są na to dowody.

Ci, co mają wyruszyć, najpierw się przygotowują. Muszą być silni i dobrze odżywieni, muszą też mieć świadomość celu, wiarę i determinację, by wytrwać do końca, bo droga jest długa, mozolna i pełna niebezpieczeństw.

W odpowiedniej porze wszyscy zbierają się w wyznaczonym miejscu. Mnóstwo tam zamieszania i bezładnej kotłowaniny, jako że na razie nie ma żadnego porządku, nie wyłoniły się żadne grupy połączone więzami przyjaźni. Atmosfera jest napięta, panuje poruszenie wywołane oczekiwaniem, i nagle, gdy jeszcze nie wszyscy są gotowi, rozpoczyna się przygoda. Nieustraszona gromada, nie potrafię powiedzieć jak liczna, wiem tylko, że ogromna, całym tłumem pędzi przed siebie, wszyscy gnają w tę samą stronę, ciemnym tunelem, słabo

oświetlonym krwawymi błyskami czerwonawego światła. Bezpieczna ojczyzna zostaje w tyle, szybciej niż można sobie wyobrazić pokonują dzielące ich od niej morze, i oto już są na obcym terytorium, w tropikalnym estuarium o wielu zatoczkach i ukrytych zakamarkach. Woda jest słona, roślinność amazońska, a ląd mroczny i zakryty gęstą mgłą. Czają się tu straszliwe zwierzęta, a może to ryby, atakują maruderów i wielu rozszarpują. Inni się gubią, błądzą, aż słabną i giną marnie.

Droga teraz się zwęża i ci, którzy przetrwali, docierają do bramy. Jest zamknięta, ale szukają hasła. Rzucają jedno, potem drugie i patrzcie! Brama mięknie, topnieje, zamienia się w galaretę i oto przechodzą. Czary nadal działają – niewidzialna siła jest po ich stronie. Kolejny tunel – tu trzeba stłoczyć się i płynąć pod prąd, wzdłuż brzegów krętych i płynnych jak lawa, wspomagając się nawzajem. Tylko razem mogą osiągnąć sukces.

(Może się wam zdaje, że opowiadam o męskiej przyjaźni albo wojnie, ale nie – połowa z nich jest rodzaju żeńskiego; płyną, pomagają i poświęcają życie tak samo jak reszta).

Wreszcie szlak się rozszerza i wznosi się nad nimi olbrzymim łukiem nocne niebo, a może jesteśmy w kosmosie, który znacie z tylu filmów o gwiezdnych wojnach i odysejach? Wciąż jest ciepło, zaś drużyna, niestety znacznie przerzedzona, posuwa się do przodu, szukając – czego? Jakiegoś skarbu, nowego domu, światów, które można podbić, nieprzyjacielskiej twierdzy, a może Graala? Teraz każdy jest sam i wyprawa zamienia się w wyścig,

w którym tylko jeden zwycięża, bo pojawia się przed nimi ogromna i świecąca, wytęskniona, ukochana planeta, jak Księżyc, jak Słońce, jak wizerunek Boga, okrągła i doskonała. Cel.

Żegnajcie, towarzysze i siostry! Zginęliście, żebym ja mógł przeżyć. Sam wejdę do raju, podczas gdy wy będziecie więdnąć i schnąć w ciemności, na zewnątrz. Z tymi słowami – wiesz o tym, bo tu opowieść dociera już do skraju pamięci – zwycięzca dociera do gigantycznej przestrzeni, daje się pochłonąć łagodnej, różowej atmosferze raju, tonie, wkracza, zrzuca skórę, która go więzi, zlewa się, znika – a świat powoli wybucha, podwaja się, obraca, zmienia na zawsze, i tam, w bezludnym niebie, rozpala się świeżo złożona gwiazda, wygnanie i ziemia obiecana w jednym, zwiastun nowego ładu, nowych narodzin, być może świętych; i zwierzęta znów otrzymają nazwy.

Twarda gra

Oto nadchodzi przyszłość, toczy się ku nam jak meteoryt, jak satelita, jak wielka żelazna śnieżna kula, dwutonowa ciężarówka na niewłaściwym pasie, pędząca w dół bez hamulców, a kto jest temu winien? Za późno, by o tym myśleć. Pstryk i już ją mamy.

Jakże gładka, mocna i twarda jest ta przyszłość! Jak świetnie zaprojektowana! Ile w niej cudów, zwłaszcza dla tych, którzy mogą sobie na nie pozwolić! To wybrani, po owocach ich poznacie. Ich owoce to truskawki i karłowate śliwki, i winogrona – to, co można hodować na stosunkowo małej przestrzeni, obok hydroponicznie uprawianych warzyw i dekoracyjnych roślin pochłaniających toksyny. Przestrzeń się liczy, to znaczy przestrzeń do życia. Wszelka inna jest martwa.

Przestrzeń życiową przykrywa wspaniała Kopuła Pracy, Rozrywki i Wypoczynku, przeźroczysta bańka, która chroni

przed zabójczymi promieniami kosmicznymi i kwaśnym siarkowym deszczem, i powietrzem, którego już nie ma. Nie ma już powietrza, podkreślam. Można oczywiście wyglądać na zewnątrz – patrzeć na słońce, czerwone przez cały dzień, które wschodzi nad nagą skałą i ruchomymi piaskami, wędruje nad nagimi skałami i ruchomymi piaskami i zachodzi nad nagą skałą i ruchomymi piaskami. Takie efekty świetlne to jest coś.

Tyle że o oddychaniu nie ma mowy. To trzeba robić wewnątrz, a im człowiek bogatszy, tym lepiej mu to wychodzi. Apartament kosztuje kupę forsy; w najtańszym standardzie jest ciasno i, wierzcie mi, śmierdzi. Cóż, jak się nie ma co się lubi, to się lubi co się ma, i nie może tak być, żeby wszyscy dostali równo. Nie byłoby motywacji do niezbędnej pracy, do koniecznych poświęceń, do stałego pięcia się w górę – tam, gdzie podobno wciąż rosną bladoróżowe truskawki i żółtawa marchewka.

Co poza tym się jada? Fakt, hamburgerów już nie ma. Krowy zajmują zbyt wiele miejsca. Tu i ówdzie nadal hoduje się kurczaki i króliki, bo szybko się mnożą i są małe. Na niższych szczeblach oczywiście także szczury, jeśli uda się je złapać. Wyobraźcie sobie ziemię jako osiemnastowieczny okręt, z pasażerami na gapę, lecz bez portu przeznaczenia.

I nie muszę dodawać – ani śladu ryb. Nic nie zostało w brudnej wodzie chlupoczącej w oceanach i na szczątkach tego, co było kiedyś Nowym Jorkiem. Jeśli ktoś jest rzeczywiście nadziany, może wybrać się tam na nur-

kowanie podczas urlopu. Najlepiej śluzą powietrzną. Zanurzy się w romantyczną historię z minionej epoki. Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Skończyły się napady na ulicach. Zapiszmy to na plus.

Wracając do wiecznie interesującego tematu jedzenia. Co zjemy na kolację? W kółko te same kiełki fasoli? Co jest głównym źródłem białka, jeśli pominąć bezbarwne garnirowanie i przystawki z kurzych podrobów?

Wyobraźmy sobie ziemię jako dziewiętnastowieczną łódź ratunkową, dryfującą po otwartym morzu, z rozbitkami, ale bez ratowników. Niedługo skończy się żywność, skończy się woda. Skończy się wszystko oprócz współpasażerów.

Nie bądźmy przeczuleni! Przecież na własnej skórze nauczyliśmy się, że niczego nie wolno marnować. Albo powiedzmy, że prędzej czy później każdy z nas wniesie swój skromny wkład w ogólny dobrobyt.

Robi się to komputerowo. Jedne narodziny to jedna śmierć. Wszystko oczywiście przerabia się na proszek. Nie zostaje nic, co dałoby się rozpoznać, na przykład palce. Wyobraźmy sobie ziemię jako twardą, kamienną kulę, odartą z życia. Są pewne korzyści – brak komarów i ptasich kup na samochodach. Dobrą stroną jest też technika umożliwiająca przetrwanie. Weź to pod uwagę.

Uważasz, że niepotrzebnie straszę. Zbyt otwarcie i drastycznie. Wolisz, żeby sprawy toczyły się tak jak dotychczas, pięć porządnych posiłków dziennie, nowe plastikowe za-

bawki, dobrze naoliwione i kręcące się tryby gospodarki, wypłata w terminie, ten sam dym unoszący się z komina. Nie masz ochoty na taką przyszłość.

Naprawdę? To ją wyłącz. Zamów inną. Zwróć do nadawcy.

Byłam nietoperzem

1. Reinkarnacja

W poprzednim życiu byłam nietoperzem. Jeśli wcześniejsze wcielenia uważasz za coś śmiesznego lub nieprawdopodobnego, nie jesteś osobą poważną. Pomyśl: wierzy w to aż tylu ludzi, a skoro normalność oznacza powszechną zgodę na postrzeganą rzeczywistość, kim jesteś, żeby się sprzeciwiać?

Zwróć też uwagę, że poprzednie wcielenia wkroczyły już w świat komercji. Można na nich zrobić pieniądze. *Byłaś Kleopatrą, byłeś flamandzkim księciem, a ty kapłanką druidów* i kasa wędruje z ręki do ręki. Skoro istnieje giełda, one też muszą istnieć.

Na rynku poprzednich wcieleń mniejsze jest zapotrzebowanie na peruwiańskich robotników budowlanych niż na Kleopatrę, to samo dotyczy indiańskich czyścicieli ustępów albo żon i matek z kalifornijskich domów z 1952 roku. Po-

dobnie nie tak wielu z nas chce pamiętać siebie jako sępa, pająka albo gryzonia, ale są i tacy. Garstka szczęściarzy. Według po-wszechnie panujących poglądów wcielenie w zwierzę jest karą za popełnione grzechy, ale może to jednak nagroda? Przynajmniej jakieś schronienie. Interludium łaski.

Nietoperze mają parę cech, z którymi trzeba się pogodzić, lecz nie torturują. Kiedy zabijają, robią to bez litości, ale i bez nienawiści. Nie dręczy ich współczucie. Nigdy nie triumfują.

2. Złe sny

Wciąż wracają do mnie złe sny.

W jednym z nich wiszę uczepiona sufitu w domku letniskowym, a facet z czerwoną twarzą, w białych szortach i białej koszulce z wycięciem w serek podskakuje i wali we mnie rakietą tenisową. W górze są krokwie z drewna cedrowego i przypięte pinezkami kleiste lepy na muchy, które dyndają jak trujące wodorosty. Patrzę w dół, na jego twarz, spoconą i skróconą w widoku z góry, na wybałuszone niebieskie oczy i usta wydające wściekłe dźwięki; unosi się i opada na zmianę, jak morska boja, jakby płynął na fali ciepłego powietrza.

Powietrze jest duszne, słońce zachodzi, będzie burza. Kobieta krzyczy: „Moje włosy! Moje włosy!". Ktoś inny woła: „Antea! Przynieś drabinę!". Chcę za wszelką cenę wyrwać się przez dziurę w okiennej siatce, wymaga to jednak pewnego skupienia, o co trudno w tym zgiełku, który zakłóca mój so-

nar. Czuję zapach brudnej maty łazienkowej – to jego oddech, oddech uchodzący wszystkimi porami, oddech potwora. Będę miała szczęście, jeśli uda mi się ujść z życiem.

W innym śnie kieruję się – użylibyście słowa: frunę – przez czysty półmrok przed świtem. Jestem nad pustynią. Kwitnie jukka, właśnie obżarłam się jej sokiem i pyłkiem. Wracam do siebie, do mojego domu w jaskini, gdzie w ciągu palącego dnia będzie chłodno i gdzie słychać, jak po wapiennej skale ciurka woda, pokrywając ją lśniącą ciszą i wilgocią nowych grzybów, gdzie inne nietoperze będą popiskiwać, szeleścić i drzemać, póki znów nie rozsnuje się noc i gorące niebo znowu nie stanie się dla nas łaskawe.

Ale wejście do mojej jaskini jest szczelnie zamknięte. Zablokowane. Kto to zrobił?

Zawisam w powietrzu, węszę, obijam się po omacku o twardą powierzchnię jak oślepiona ćma. Wkrótce wzejdzie słońce, ten balon napełniony ogniem, jego jaskrawe światło zniszczy mnie i wysuszy na kilka drobnych kosteczek.

Kto powiedział, że światło jest życiem, a ciemność nicością?

Mamy odmienne mitologie.

3. Filmy o wampirach

Charakter poprzedniego życia zaczynałam uświadamiać sobie stopniowo. Dzięki snom, ale także ze strzępów pamięci, przebłysków, osobliwych chwil olśnienia.

Odkrywam więc moje upodobanie do delikatnych zmierzchów i świtów, w przeciwieństwie do jaskrawego, ogłuszają-

cego południa. Przeżyłam też déjà vu w Carlsbad Caverns – na pewno byłam tu wcześniej, kiedyś, bardzo dawno temu, zanim jeszcze nadano cukierkowe nazwy stalaktytom i założono pastelowe reflektory oraz podziemną restaurację, w której można nabawić się zarówno klaustrofobii, jak i niestrawności, po czym wrócić windą na górę.

Mam też niechęć do gęstwy ludzkich włosów, tak podobnych do sieci albo do czułków trującej meduzy; bałam się, że się w nie wplączę. Żaden prawdziwy nietoperz nigdy nie wysysałby krwi z szyi. Szyja jest zbyt blisko włosów. Nawet nietoperz wampir będzie szukał celów zupełnie nieowłosionych – wybierze palec u nogi, przypominający krowi cycek.

Filmy o wampirach zawsze wydawały mi się niedorzeczne, właśnie z tego powodu, a także z racji głupoty nietoperzy – ogromnych, gumowatych stworów o oczach przypominających czerwone lampki choinkowe i z kłami tygrysów szablozębnych; przylatywały na sznurkach i machały pociąganymi skrzydłami – istne marionetki – niemrawo, jak przekarmione, wynaturzone ptaki. Krzyczałam w takich momentach, ale nie ze strachu, lecz ze śmiechu i oburzenia, że obraża się nietoperze.

Drakulo, bohaterze nie z tej ziemi! Latająca białaczko, w pelerynie podobnej do żywej parasolki, obciągniętej błoną z czarnej skóry, którą wydobywasz z siebie i wznosisz jak wachlarz striptizerki, kiedy wygłodzony, pełen żądzy schylasz się nad miękką i nieskazitelną szyją kobiety, która tu i teraz, w swoim najpiękniejszym negliżu, marzy o unicestwieniu. Dlaczego ktoś, kto ukradł ci duszę, sprawił, że dane ci jest zmieniać się tylko w nietoperza i wilka

– i nic poza tym? Dlaczego wampirem nie bywa wiewiórka, kaczka, myszoskoczek? Albo żółw? To by dopiero był numer.

4. Nietoperz jako śmiercionośna broń

Podczas drugiej wojny światowej prowadzono eksperymenty z udziałem nietoperzy. Powstał plan wypuszczania nad niemieckimi miastami, w samo południe, tysięcy osobników; każdy z nich miał nieść mały ładunek wybuchowy i urządzenie zegarowe. Nietoperze wyruszałyby swoim zwyczajem na poszukiwanie ciemności. Wpełzałyby do dziur w murach albo kryły się pod okapami dachów, gdzie zwykle znajdują bezpieczne schronienie. I o ustalonej z góry porze wybuchałyby, podpalając całe miasta.

Taki był plan. Śmierć od płonącego nietoperza. Nietoperze oczywiście też by zginęły. Ten rodzaj masowej zagłady był do przyjęcia.

Miasta i tak stanęły w płomieniach, choć bez udziału nietoperzy. Wynaleziono bombę atomową i ogniste nietoperze okazały się niepotrzebne.

Gdyby jednak je wykorzystano, czy doczekałyby się później pomnika jako bohaterowie wojny? Mało prawdopodobne.

Gdyby popytać ludzi, czy o gęsią skórkę przyprawia ich nietoperz, czy raczej bomba, powiedzą, że nietoperz. Trudno obudzić w sobie wstręt do kawałka metalu, choćby

i zabójczego. Zachowujemy to odczucie dla tych, którzy mają skórę i ciało, ale inne niż nasze.

5. Piękno

A może życie w skórze nietoperza nie było żadnym interludium? Może jest nim moje obecne życie? Może wysłano mnie w niebezpieczną misję, każąc mi przybrać postać człowieka, bym uratowała swój lud? Kiedy osiągnę nawet drobny sukces albo zginę podejmując taką próbę – bo niepowodzenie w obliczu takich zadań i przeciwności jest bardziej prawdopodobne – narodzę się na nowo, z powrotem w tamtej postaci, w tamtym świecie, do którego tak naprawdę należę.

Coraz częściej do niego tęsknię. Szybkie bicie serca, zanurzanie się w nektar wieczornych kwiatów, unoszenie się w podczerwieni nocy, wilgotny, leniwy półsen w ciągu dnia, w ścisku okrągłych ciał, miękkich jak futrzane śliwki, matki liżące drobne, zdumione buzie noworodków; miłosna tęsknota do tego, co wkrótce nastąpi, czekanie na język i pomarszczony, zwinięty nos, jak zeschły liść, jak wlot chłodnicy samochodowej, nos mieszkańca Plutona.

A wieczorem ultradźwiękowy hymn pochwalny do naszego Stwórcy, Stwórcy nietoperzy, który jawi nam się pod postacią nietoperza i który dał nam wszystko: wodę i wilgotny, lśniący kamień jaskiń, drewnianą kryjówkę strychu, płatki i owoce, i soczyste owady, i piękno idealnie tnących powietrze skrzydeł i ostrych, białych kłów i błyszczących oczu.

O co się modlimy? O jedzenie, tak jak wszyscy, i o zdrowie, i o pomnożenie naszego rodzaju, i o wybawienie od zła, którego nie rozumiemy, które ma głowę porośniętą włosami, i chodzi w nocy z jednym, białym, oślepiającym okiem, śmierdzi nieprzetrawionym mięsem i ma dwie nogi.

Bogini jaskiń i grot – błogosław swoje dzieci.

Teologia

W szkole modliliśmy się często. Nie było w tym żadnej filozofii. Każdego ranka w klasie krótkie czytanie Pisma Świętego, trochę też na apelach, świątobliwa mowa dyrektora przez szkolny radiowęzeł, aula jasnozielona jak szpital, szepty i szurania w rzędach jeszcze nowych krzeseł, a po modlitwie codzienne wezwanie, by pozbierać papierki po gumie do żucia. Była to epoka fryzury w kaczy kuper, gumy było wszędzie mnóstwo.

Raz nauczycielka łaciny powiedziała ze zgrozą: nie kładź listy obecności *tam*! Nie na Biblii!

Podczas modlitw, a czasem także na lekcjach łaciny zastanawiałam się: skoro niebo jest miejscem dobrym, dużo lepszym od ziemi, dlaczego mordowanie dobrych ludzi jest złe? Czy wysłanie ich tam wcześniej nie byłoby dobrym uczynkiem? Złem powinno być tylko mordowanie złych ludzi, bo źli nigdy nie trafią do nieba. Ale skoro są napra-

wdę bardzo źli, z pewnością zasługują na to, żeby ich zabić. A więc tak czy owak zabijanie i dobrych, i złych jest w rzeczywistości czymś dobrym – dla dobrych to przysługa, a źli dostają, na co zasłużyli.

Powiedziałam coś na ten temat mojej przyjaciółce S., kiedy wracałyśmy po lekcjach do domu, obok kino-teatru Bayview, z sufitem upstrzonym kulkami z przeżutego i zwiniętego papieru, obok budynku fundacji Kresgego, gdzie było przyćmione światło, i podłogi z drewna, i broszki z farbowanych piór i pozłacane ramki do obrazków, w które wstawiano na pokaz mętnie podkolorowane zdjęcia gwiazd filmowych sprzed dziesięciu lat; mówiło się, że można tam trafić do pracy, jeśli się zawali rok albo pechowo wpadnie na tylnym siedzeniu auta. Nosiłyśmy wtedy wąskie, długie i proste spódnice, krótkie płaszcze i sztruksowe baleriny, które rozklapywały się po kilku włożeniach.

Interesował mnie pomysł takich dobroczynnych zabójstw i ludzie, którzy mogliby ich dokonać. Miałam własne zdanie na ten temat; nawet patrząc na grono nauczycieli szkoły średniej zgadywałam, kto by to zrobił z przyjemnością, a kto nie i kto uznałby, że to wszystko wyjdzie na dobre. Religia, jak uważałam, może się wymknąć spod kontroli.

Moja przyjaciółka S. należała do unitarian, którzy kiepsko śpiewali, ale byli dobrzy i życzliwi. Na Boże Narodzenie jej rodzina ubierała choinkę jednolicie, na przykład tylko niebieską gazą albo tylko srebrnymi bombkami, a nie tak jak inni, chaotycznie i wszystkim po trochu.

S. zastanawiała się nad teorią zabijania, ale niezbyt długo. Sądziła, że żartuję.

Bóg to dobro w ludziach, mawiała od czasu do czasu.

Jak witaminy w mleku?, pytałam. To znaczy, jak już wszyscy umrą, Boga więcej nie będzie?

Nie, odpowiadała. Nie wiem. Muszę zapalić. Nie rób mi wody z mózgu.

Anioł

Wiem, jak wygląda anioł samobójstwa. Widziałam go kilka razy. On istnieje.

Wcale nie jest podobny do aniołów z lokami i pięknymi rzęsami, jakie widujecie od czasu do czasu na starych obrazach, ani do tych ze świątecznych kartek, słodkich lub całych w bieli. Bardzo ważne na tych wizerunkach są stopy, zawsze gołe, sądzę, że po to, by pokazać, że anioły nie potrzebują butów – mogą chodzić po gwoździach albo po rozżarzonych węglach, mają serca białe niczym aspiryna, głowy puszyste jak dmuchawce, a ciała z powietrza.

Anioł samobójstwa jest inny, gęsty, ciężki od antymaterii; jest ciemną gwiazdą. Ale mimo to ma coś wspólnego z tamtymi. Wszystkie anioły są posłańcami, i ten także, co nie znaczy, że wszystkie posłania są dobre. Anioły różnią się między sobą, w zależności od tego, co mają przekazać – jest anioł ślepoty na przykład, anioł raka

płuc, anioł ataków, anioł zniszczenia. Ten ostatni jest także grzybem.

(I anioły śnieżne, które widujesz – twój zimny, pusty kształt; kontur, który kiedyś wypełniałeś. To też posłańcy, przybywają z przyszłości. Tym będziesz, mówią, może tym jesteś – zaledwie sposobem, w jaki światło załamuje się w przestrzeni).

Anioły dzielą się na dwa rodzaje – pozostałe i upadłe. Anioł samobójstwa jest jednym z tych, które upadły, przez atmosferę w dół, na powierzchnię ziemi. A może skoczył? O to musisz go spytać.

Był to w każdym razie długi upadek. Od tarcia powietrza jego twarz stopiła się jak powierzchnia meteoru. Dlatego anioł samobójstwa jest taki gładki. Nie ma właściwie twarzy. Ma twarz szarego jajka. Obojętną i zimną, choć wciąż utrzymuje się na niej lśnienie upadku.

Powiedzieli wtedy, cała ich grupa, nie będę służyć. Anioł samobójstwa jest jednym z nich – to zbuntowany kelner. Bunt, oto co ma ci do zaoferowania, kiedy kiwa na ciebie zza okna na pięćdziesiątym piętrze albo na krawędzi mostu, lub kiedy wręcza ci coś, jakiś symbol wybawienia, bezbolesną chemię czy szybki i skuteczny metal.

Skrzydła, oczywiście. Nie uwierzyłbyś w ani jedno jego słowo, gdyby nie skrzydła.

Maki
Trzy wariacje

Na polach Flandrii łany maków rosną
Między krzyżami zakwitają wiosną.
To nasze miejsce, a w górze śpiewają
Dzielne skowronki, co trwogi nie znają,
Chociaż huk armat rozrywa nieboskłon.

John McCrae

1.

Miałam wuja, który kiedyś służył we *Flandrii*. A może to była Francja? Jestem na tyle stara, by mieć takiego wuja, ale jeszcze za młoda, by pamiętać. Gdziekolwiek to było, tamtejsze *łany* znów są zielone, choć *pola*, każdej *wiosny* orane

i zasiewane, wciąż wyrzucają z siebie zardzewiałe pociski i szczątki czaszek. Wuj nosił beret i maszerował w paradach, ale powoli. W tamtych czasach zawsze kupowaliśmy filcowe *maki*, których teraz nie robi się już z filcu, a z plastiku – małe, czerwone kwiatki *zakwitające* na sercach. Wspomnienia *krzyżują* się i nakładają na siebie, a *między* nimi mali ołowiani żołnierze na sklepowych wystawach, w szeregach, już nie z ołowiu, zbyt trującego, ale dopracowani w każdym szczególe, z różnych *miejsc*, ze wszystkich stron świata – Indii, Afryki, Chin, Ameryki. Taki jest obraz wojny – z perspektywy czasu nabiera splendoru, albo staje się grą, którą – teraz to widzimy – mogliśmy rozegrać lepiej. Od czasu do czasu sklepy organizowały wyprzedaże i można było ich kupić po okazyjnej cenie. Są tam i *nasi*, z nową flagą z liściem, a nie tamtą rdzawoczerwoną jak krew, pod którą walczyli. Wujek miał podkładki pod talerze, ze starą flagą, filiżanki i spodki. Samoloty na niebie, *w górze*, były wtedy małe, niemal śmieszne, jak samolociki napędzane skręconą gumką; oglądałam je na filmach. Wujek mówił, że *skowronków* nigdy tam nie widział. Za dużo było dymu albo mgły. Za dużo *huku*, choć zdarzały się ranki niezwykle spokojne – najgroźniejsze. Człowiek miał nadzieję, że zachowa się *dzielnie*, kiedy przyjdzie ta chwila, podnosił się na duchu *śpiewaniem*. Był tam pewien rodzaj much, które żerowały na zwłokach, tysiące, jak mówił, a podczas bombardowań trudno było cokolwiek usłyszeć, nawet własne myśli. Choć czasem coś się słyszało – ktoś obok niego szepnął: patrz! a kiedy wuj spojrzał, nie było już tułowia, tylko czerwona dziura, mokra plama w powietrzu. Wujka też już nie ma, coraz mniej wete-

ranów maszeruje co roku w paradzie, coraz mocniej kuleją. Ale żołnierze na wystawach mnożą się, są czyści, pomalowani na różne kolory, mają małą, misternie wykonaną broń, błyszczące buty, twarze brązowe, różowe albo żółte, ani uśmiechnięte, ani nachmurzone. Aż dziw, jak wielu takich żołnierzy miało się w domu przez wszystkie te lata, kochało i gubiło przez wszystkie te lata, na podwórkach albo w szczelinach podłogi na ganku. Leżą tam, pod naszymi stopami w ogrodzie i pod deskami, bez rąk, bez nóg, z twarzami startymi do połowy, słuchając każdego naszego słowa, czekając, aż ich odkopiemy.

2.

Filiżanka kawy, codzienny poranny narkotyk. Jego nie ma, uprawia jogging, powiedział jej, że nie powinna tak gnić, ale ona jakoś nie może się pozbierać, potrzeba do tego zbyt wielu rzeczy – właściwych butów, odpowiedniego ubrania, a potem jeszcze ten niepokój, jak wygląda kołysząca się w biegu pupa. Zresztą nie może robić tego sama, mogą ją napaść. Siedzi więc, wspominając, jak wiele już nie pamięta – kim była kiedyś, kim chciała zostać, gdy dorośnie. Myśmy już martwi; to chyba jedyna linijka z wiersza „Na polach Flandrii", który musiała przepisać dwadzieścia razy na tablicy, za gadanie na lekcji. Miała wtedy dziesięć lat i była szczupła, a teraz proszę. On mówi, że powinna przejść na wegetarianizm, tak jak on, zdrowy jak rzepa. Wolałaby raczej jeść *maki*, wchłaniać narkotyk wprost ze źródła. Zjadać trujące cebul-

ki żonkili. A jeszcze lepiej wkroić mu je do zupy. Jeden raz za dużo kichnie w jej stronę i wtedy to zrobi. *Między* młotem a kowadłem, oto gdzie siedzi, bezczynna, jak więzień kreśląc *krzyże* na ścianie, albo jak przy robótkach na drutach, gdzie liczy się oczka i rzędy, stary sposób, żeby odhaczać kolejne dni. To *nasze miejsce*, on tak mówi o tej dziurze. Niech mówi we własnym imieniu, ona jest tu tylko materacem, sprzątaczką, a gdy tylko on kiwnie palcem, ma być cała w *skowronkach*. Powinna spalić ten kram, choćby dla hecy, ale gdyby nawet okazała się taka *dzielna*, dokąd pójdzie potem? Co będzie robić? Myśli o grupce młodych mężczyzn, których widzieli w mieście, wieczorem, kiedy poszli na kolację w dniu jego urodzin. Trochę naćpani, śpiewali fałszując, jeden z nich miał niedopięty rozporek. Wolność. Przyłapcie kobietę w takiej sytuacji, z majtkami na wierzchu, a będzie ją posuwał każdy żul w promieniu kilometra. Za późno na ulatnianie się, jak zadrą już spódnicę do góry. Słyszała o podobnym przypadku, w sali bilardowej chyba. To właśnie trzyma ją tu, przykutą do tego domu. To nie jest kryzys wieku średniego, jak on twierdzi. To strach, czysty, zwyczajny strach. Trudno go przezwyciężyć, wznieść się ponad to. Unieść się jak balon czy śmietanka na mleku, jakby wystarczyło tylko gorące powietrze albo tłuszcz. Albo siła woli. Bo przyczyna tego strachu istnieje i nie da się jej usunąć pobożnymi życzeniami. To, czego potrzebowałaby w prawdziwym życiu, to broń. I umiejętność posłużenia się nią. I odwaga, oczywiście. Nalewa sobie drugą filiżankę kawy. To jej wielka wada – mogłaby mieć broń, ale nie nacisnęłaby spustu. Nigdy nie potrafiłaby uderzyć mężczyzny poniżej pasa.

3.

Kiedy w szkole po raz pierwszy usłyszałam słowo *Flandria*, myślałam, że to coś, z czego szyje się koszule nocne. I piżamy. Ale potem okazało się, że to była wojna, dla nas ważniejsza niż inne, zapewne dlatego, że mogli być na niej nasi dziadkowie albo przynajmniej jacyś dalsi krewni. Okopy, *pola* błota, druty kolczaste stały się też częścią naszej pamięci. Ale tylko na jakiś czas. Zdjęcia bledną, deszcz zżera pomniki, neurony w naszych mózgach wyłączają się jeden po drugim i coraz bardziej brakuje słów. Mamy inne sprawy, o których musimy myśleć, musimy zajmować się własnym życiem. Dziś posadziłam przed domem pięć *maków*, pomarańczowo-różowych, nowej odmiany. Ładnie będą wyglądały koło margerytek. Terroryści wysadzają porty lotnicze, kochankowie odnajdują się w tłumie, *między* obcymi, w delikatnej, zielonej mżawce ulicą idzie raptem parę osób na *krzyż*; *wiosną* młodzi mężczyźni walczą o zwycięstwo w regatach, jakby od 1913 roku nic się nie wydarzyło, a tłumy machają im i rozkoszują się koktajlem z ogórkiem i ginem. Co w tym złego? Radzimy sobie jakoś, raz lepiej, raz gorzej, z roku w rok przechodzimy niemal niepostrzeżenie, jeśli tylko znamy swoje *miejsce*, nie paplamy za dużo i nie wywołujemy chaosu. Odrobina seksu, trochę pracy w ogródku, spłukiwane toalety i podobne niewyszukane przyjemności, a *w górze* czujnie krążące nad nami satelity. Myszołowy, górniczki, dzierzby i leśne gajówki przędą cieniej, choć wciąż *dzielnie* próbują gnieździć się tam, gdzie nie dotarły pestycydy i ostrza żniwiarek. Jeśli chcesz *śpiewu*, jest go pod dostatkiem, możesz

włączyć go sobie w każdej chwili; ten, który dochodzi cię ze słuchawek współtowarzysza lotu brzmi jak bzyczenie muchy i może doprowadzić człowieka do szału. Podobnie jak wiadomości. Kataklizm zwiększa sprzedaż piwa, w tym miesiącu na topie są huragany i głód – brak tego, brak tamtego, za mało wody, za dużo słońca. Z każdym posiłkiem przełykasz potężne porcje winy. Radosny i podniecony anonimowy głos mówi ci: My pierwsi podajemy tę informację. Co za mętlik w śródmózgowiu! Popróbuj raczej medytacji, ciesz się kruchą roślinką, bądź wdzięczny i za to. Wsłuchuj się w światło księżyca, słuchaj dżdżownic biesiadujących na trawniku, ciesz się własnymi, szybkimi uderzeniami serca. Ale pod tym wszystkim jest jeszcze inny dźwięk, jak fala głębinowa, huk; nie możesz się go pozbyć. To działa, które nigdy nie ucichły, tylko się przesunęły. To działa, bijące monotonnie, znudzone sobą, ale śmiercionośne coraz bardziej i bardziej, to działa, pomruk słyszalny w tle każdej zwyczajnej, czułej rozmowy. Powiedz proszę o cukier, a usłyszysz działa. Powiedz kocham cię. Przyłóż ucho do skóry – w głębi, pod myślą, pod pamięcią, pod wszystkim – działa.

O nas

1.

Od czego powinnam zacząć? Przecież nigdy tam nie byłeś, a jeśli byłeś, być może nie rozumiesz znaczenia tego, co widziałeś, albo sądzisz, że widziałeś. Okno jest oknem, ale jest też patrzenie na zewnątrz i patrzenie do środka. Tubylec, który ci mignął, znikając za zasłoną albo w zaroślach czy w studzience na głównej ulicy – mój lud jest nieśmiały – mógł być tylko twoim odbiciem w szybie. Takie złudzenia są specjalnością mojego kraju.

2.

Przyjmijmy, że jestem typowa. Chodzę wyprostowana, na dwóch nogach, mam do tego dwie ręce, z dziesięcioma wyrostkami, czyli po pięć na każdej. Na głowie, ale nie

z przodu, mam dziwny porost, jakby gatunek wodorostów. Jedni twierdzą, że jest to rodzaj futra, inni uważają to za zmodyfikowaną postać piór, która mogła rozwinąć się z łusek podobnych jak u jaszczurki. Nie ma to żadnego praktycznego zastosowania i zapewne służy wyłącznie celom dekoracyjnym.

Moje oczy znajdują się w głowie, zaopatrzonej także w dwa małe otwory wlotu i wylotu powietrza, niewidzialnego płynu, w którym pływamy, oraz w jeden większy otwór, wyposażony w kostne wypukłości zwane zębami – za ich pomocą niszczę i przyswajam pewne elementy mojego otoczenia i zamieniam je w siebie. Nazywa się to jedzeniem. Wśród rzeczy, które jem, są korzenie, jagody, orzechy, owoce, liście i tkanki mięsne różnych zwierząt i ryb. Czasem jem także ich mózgi i gruczoły. Z zasady nie jadam owadów, larw, oczu ani ryjów świń, choć są one przysmakiem w innych krajach.

3.

Niektórzy członkowie mojego ludu mają spiczasty, ale pozbawiony kości zewnętrzny wyrostek, umiejscowiony z przodu, pod pępkiem czy środkiem tułowia. Są też tacy, którzy go nie mają. Dyskusja nad tym, czy posiadanie czegoś takiego jest korzystne, czy nie, wciąż trwa. Jeśli tego elementu brak, w tym samym miejscu znajduje się kieszonka lub jama, w której hodowani są nowi członko-

wie naszej społeczności, jednak nie wypada wspominać o tym otwarcie w rozmowie z obcymi. Radzę o tym pamiętać, ponieważ jest to najczęściej popełniane przez turystów naruszenie etykiety.

Czasem na zgromadzeniach o bardziej prywatnym charakterze brak jamy lub wyrostka pomija się taktownym milczeniem, podobnie jak szpotawe stopy albo ślepotę. Czasem jednak wyrostek i jama współpracują ze sobą w tańcu lub w sztuczkach, używając luster i wody, co jest zawsze absorbujące dla wykonawców, ale często groteskowe dla obserwatorów. Zauważyłam, że macie podobne obyczaje.

Sprawom tym poświęca się ostatnio mnóstwo czasu i mówi się o nich na poważnych konferencjach. Ci z wyrostkiem mówią, że ci z jamą w ogóle nie są ludźmi i że tak naprawdę bardziej przypominają psy albo ziemniaki, a jamkowi atakują wyrostkowców za ich obsesję na punkcie wyobrażeń związanych z wpychaniem, wtykaniem i dźganiem. Zachwyca ich każdy długi przedmiot zakończony otworem, z którego można wystrzeliwać jakieś pociski.

Ja osobiście – należę do jamkowych – z ulgą myślę o tym, że nie muszę pokonywać zasieków z drutu kolczastego ani obawiać się, że przytnę się suwakiem.

I tyle, jeśli chodzi o naszą postać cielesną.

4.

Co do kraju, pozwolę sobie zacząć od zachodów słońca, które u nas są długie, czerwone i czyste, a także wspaniałe i melancholijne, można niemal powiedzieć, symfoniczne, w przeciwieństwie do krótkich i nudnych zachodów słońca gdzie indziej, równie interesujących jak wyłączenie światła. Jesteśmy z nich dumni. „Chodźcie popatrzeć na zachód słońca", mówimy do siebie. I wtedy wszyscy pędzą na dwór albo do okien.

Nasz kraj jest wielki, rozległy i słabo zaludniony, dlatego boimy się pustej przestrzeni, a jednocześnie nas do niej ciągnie. Ogromną jego część zajmują wody, co tłumaczy nasze zainteresowanie odbiciami, nagłym znikaniem, rozpływaniem się jednej rzeczy w innej. Duże powierzchnie pokrywają jednak skały i tym można wyjaśnić naszą wiarę w Przeznaczenie.

Latem wylegujemy się na palącym słońcu niemal nago, pokrywamy ciała tłuszczem i usiłujemy stać się czerwoni. Ale kiedy słońce stoi nisko na niebie i jest blade nawet w południe, woda, która tak nas zachwyca, zamienia się w coś twardego, białego i zimnego i pokrywa całą ziemię. Opatulamy się wtedy, robimy się ociężali i większość czasu spędzamy ukryci w szczelinach. Kurczą się nam usta i niewiele mówimy.

Wcześniej jednak liście na wielu drzewach stają się u nas krwistoczerwone albo jaskrawożółte, bardziej jaskrawe i egzotyczne niż wieczna zieleń dżungli. Naszym zdaniem jest to

piękne. „Chodźcie popatrzeć na liście", mówimy, wskakujemy do naszych ruchomych pojazdów i jeździmy po lasach pełnych krwistych drzew, przyciskając nosy do szyb.

Jesteśmy narodem przemian.

Fascynuje nas czerwień.

5.

Zdarza się, że leżymy spokojnie i bez ruchu. Jeżeli powietrze wchodzi i wychodzi z naszych otworów oddechowych, mówimy, że to sen. Jeśli nie, nazywamy to śmiercią. Kiedy ktoś z nas dorobi się śmierci, organizujemy coś w rodzaju pikniku, z muzyką, kwiatami i jedzeniem. O ile uczczona w ten sposób osoba jest w jednym kawałku, a nie na przykład w strzępach albo nie rozpada się, a tak się dzieje, gdy wybuchła albo długo leżała w wodzie, ubiera się ją w odpowiedni strój i opuszcza do dziury w ziemi, ewentualnie pali.

Te obyczaje najtrudniej objaśnić obcym. Niektórzy z naszych gości, zwłaszcza młodzi, nigdy nie słyszeli o śmierci i są zdezorientowani. Sądzą, że śmierć jest tylko kolejną z naszych sztuczek; nie potrafią zrozumieć dlaczego, mimo takich ilości jedzenia i muzyki, ludzie są smutni.

Ty jednak zrozumiesz. Wy chyba też spotykacie się ze śmiercią. Widzę to po twoich oczach.

6.

Widzę po twoich oczach. Inaczej dawno zaprzestałabym prób porozumienia się z tobą w tym międzyjęzyku, tak trudnym dla nas obojga, wyczerpującym gardło i napełniającym usta piaskiem; odeszłabym, wracając tam, skąd przybyłam. To świadomość śmierci nas łączy, tu nasze doświadczenia się zazębiają. Śmierć jest naszą wspólną płaszczyzną. Dzięki niej możemy razem iść dalej.

Na pewno już zgadłeś – przybyłam z innej planety. Ale nigdy nie poproszę, żebyście mnie zaprowadzili do waszych przywódców. Nawet ja – choć nie znam waszych obyczajów – nigdy nie popełnię tego błędu. U nas też są takie istoty, zrobione z kółek zębatych, skrawków papieru, małych krążków błyszczącego metalu i strzępków kolorowych tkanin. Nie mam ochoty poznawać kolejnych egzemplarzy.

Proszę za to, zaprowadźcie mnie do waszych drzew. Zabierzcie mnie tam, gdzie są wasze śniadania, wasze zachody słońca, wasze złe sny, wasze buty i rzeczowniki. Zaprowadźcie mnie do swoich palców, do swojej śmierci.

Są tego warte. Po to tu przybyłam.

Trzecioręczność

Trzecia ręka to ta odbita w niedźwiedzim tłuszczu i ochrze, w węglu drzewnym i krwi, na ścianach jaskiń liczących pięć tysięcy lat, i w błękicie, na framugach, by strzec przed złem. Zrobiona ze srebra wisi na łańcuszku na szyi, dając znak kciukiem lub wyciągniętym palcem wskazującym, a umocowana złotym nadgarstkiem do hebanowej laski stuka po tekstualnej ścieżce, od Alfy do Omegi. W kościołach czai się w relikwiarzach, koścista i upierścieniona, albo wyłania się nagle z obłoków na freskach, ogromna, surowa i znacząca, głośna jak krzyk: Grzech! Mniej elegancka, wręcz pospolita i odbita z szablonu na metalowej tabliczce, dyryguje nami: *Do wyjścia!* Rozkazuje: *Na górę. Na dół.*

Ale to zaledwie obrazy – role, przebrania, przelotne wizerunki, które wcale jej nie zawężają. Czy obrazy miłości zawężają miłość?

(Mężczyzna i kobieta idą ulicą, trzymają się namiętnie za ręce, ale czyja to ręka naprawdę? To trzecią rękę trzyma każde z nich, nie rękę ukochanej osoby. Łączy ich ta trzecia ręka i trzyma ich z dala od siebie).

Trzecia ręka nie jest ani prawa, ani lewa. To nie prawica ani lewica. Spójrzcie na człowieka złapanego za rękę, na gorącym uczynku. Twierdzi, że jest niewinny, dlaczego mamy mu nie wierzyć? *Jaka siekiera?*, pyta. *Nie wiedziałem, co robię, to nie byłem ja, popatrzcie, mam czyste ręce!* Nikt nie dostrzega trzeciej ręki odsuwającej się w bólu, na palcach, jak rozdeptany krab; ciągnie się za nią ślad świeżej krwi z odciętego nadgarstka.

Ale to zdarza się tylko tym, którzy się jej wyrzekli, odcięli, przybili do deski i zamknęli w sejfie albo w kasie pancernej. Jest zręczna, to ręka nocnego złodzieja; zawsze się wymknie, wiecznie niespokojna. Pisze, a po napisaniu znów się rusza. Porusza się i zamazuje, zaciera granice.

Należą do niej niewypełnione przestrzenie, samogłoska „o", wszystkie puste strony, liczba zero, wilk i kret, godzina przed narodzinami i minuta po śmierci, nur, sowa i wszystkie białe kwiaty. Trzecia ręka otwiera drzwi i troskliwie zamyka je za tobą. To dwie pozostałe zajmują się tym, co się dzieje w pokoju.

Trzecia ręka to ta, którą magik trzyma za plecami, pokazując wam dwie pozostałe, otwarte i puste. *Ręka jest szybsza*

niż oko, mówi. Zwróć uwagę, że używa słowa *ręka*, w liczbie pojedynczej. Tylko jedna. Trzecia.

A kiedy wędrujesz w śniegu, w zamieci, przemarzasz, a potem z niewyjaśnionych powodów robi ci się coraz cieplej, kiedy zapada noc i sen odbiera ci czucie, kiedy już wiesz, że zgubiłeś się, zginąłeś, wówczas trzecia ręka, mała dłoń, dłoń dziecka wsuwa się ufnie w twoją, i prowadzi cię dalej.

Sceny śmierci

Chcę przede wszystkim posadzić krzewy różane. Lubię po prostu tam siedzieć. Tej nocy były robaczki świętojańskie. Wyobrażasz sobie?

Powiedział, że mogę wyleczyć się sama. Mówił przez telefon. Słyszę to w twoim głosie, stwierdził. Powinnaś medytować przy świetle przez trzy minuty dziennie i pić sok z liści kapusty, pierwszych zaraz za zewnętrznymi. Włóż je do miksera. Dodaj trochę czosnku. Będziesz siusiać na zielono, ale wyzdrowiejesz. Wiesz, to rzeczywiście pomogło, na jakiś czas.

Niezbyt to pociągające. Wiem, że nie, zwłaszcza włosy. Na co mam ochotę? Żebyś mówiła o normalnych sprawach.

Wiem, że okropnie wyglądam. Ale w środku to wciąż jestem ja. Czego chcę? Chcę, żebyś mówiła o zwykłych sprawach.

Nie, nie chcę. Chcę, żebyś popatrzyła mi w oczy i powiedziała: *Wiem, że umierasz.* Ale, na litość boską, nie każ mi się pocieszać.

Powiedziałam, spieprzaj. To nie ma nic wspólnego z moim pieprzonym nastawieniem. Oczywiście, że jestem rozgoryczona. Wynoś się, bo zaraz czymś w ciebie cisnę. Gdzie jest basen? Wiesz, że wcale tak nie myślę. Chryste, ale bym się napiła. A właściwie, czemu nie, co?

Chcę wiedzieć, co wzejdzie wiosną. Cholerne wiewiórki, zjadają cebulki. Podobno naftalina pomaga.

Jeśli masz ochotę płakać, zrób to za rogiem, żeby cię nie widziała.

Powinnaś już wracać do domu.

Coś się stało, nie wiemy co. Chyba powinna pani natychmiast przyjechać.

– Zróbcie coś! To nie ona, nie ona! Wygląda jak balon, cała jest spuchnięta, nie mogę na to patrzeć!

– Jej to nie obchodzi, jest w śpiączce.

– Nie wierzę w śpiączki! Ona słyszy, widzi wszystko! Jeśli chcecie mówić o śmierci, zejdźmy na dół, do barku.

To okrutne, okrutne, nigdy się nie obudzi! Nie może wrócić do swojego ciała, a gdyby wróciła, chyba by je znienawidziła. Czy nikt nie może wyciągnąć wtyczki?

Kiedy pękła popielniczka, od razu wiedziałam, że umarła. Złamała się dokładnie na pół. To od niej ją dostałam. Wiedziałam, że właśnie jest tutaj. To był jej sposób, żeby dać mi znać.

Wielkie sceny. *Wspaniałe!* Nikt nie robił takich scen jak ona. Wulgarnych na maksa. Później oczywiście przepraszała. Nie musiała. Nie mnie.

Brak mi tego, co mówiła. Co by mówiła. To różnica – trzeba teraz wszystko ujmować w trybie przeszłym przypuszczającym. Ogołoconym, można powiedzieć. Choć to nie jest jej słowo – mówiła: strupiona twarz. To było jej określenie.

Poszłam tam, trochę pieliłam. Coraz trudniej mi przypomnieć sobie, jak dokładnie wyglądała. Pamiętam ton jej głosu, ale nie sam głos. Zabawne, jak ten głos wciąż mówi do ludzi. Jakby mogli słyszeć.

Cztery krótkie akapity

Dla p. Płaskiego

Oto krajobraz, w którym się zatrzymał – ziemia w kolorze ochry i rdzy, użyta raz, a potem jeszcze raz przerobiona, przepuszczona przez usta i żołądek, wnętrzności i kości, i znów w ziemię, a później w łodygę i pąk, i dojrzały owoc, w końcu zebrana i zmiażdżona i fermentująca przez chwilę w cieple; przycięta winorośl podobna do skręconej pięści, i nieuszczknięte pędy, o długich, żółtawych, splątanych pazurach, jak u ziemniaków leżących w ciemności; i wewnętrzne światło we wszystkim, sączące się z bruzd jak sok z przeciętej brzoskwini, lśniące na liściach jak śliskie grzbiety ślimaków, jak oblizane wargi. Kiedy pada, południowy wiatr przynosi pył Sahary, który pstrzy ogrodowe krzesła z białego plastiku przy *tabac* kropkami zaschniętej krwi. Wyżej są wapienne góry, suche i porośnięte twardymi i ostrymi krze-

wami, nazywają je *maquis*. Lubił ostrość tutejszego słońca, tak przynajmniej mówił.

W restauracji nazywano go Monsieur Terrasse, ksywa, która miała oszukać turystów, gdy jadł kolację. Omal nie powiedziałam *terrorystów*. Znani ludzie nie lubią, gdy się im przeszkadza albo kiedy ktoś się gapi jak żują. Nikt zresztą tego nie lubi, ale innym chyba to aż tak nie grozi. Terrace czyli taras. Wiele rzeczy brzmi bardziej romantycznie po francusku, słowo *odour* na przykład. *Camus* znaczy po prostu *płaski*, ale wcale się tym nie przejmował.

Książki na półkach zbudowanych z cegieł i desek, rozebranych i odtworzonych. To musiało być trzydzieści lat temu, żółkną, a potem brązowieją, kruszą się na brzegach jak opadłe liście, zjadają się same od środka. Ten sam drażniący zapach tlącego się ognia. Bezkompromisowy, taki chciał być, i przejrzysty, jak światło na pustyni.

W dniu Wszystkich Świętych dba się o zmarłych. Tutaj jest to obowiązek. Przy grobach opielonych z chwastów zakwitają wielkie bąble jaskrawych barw – chryzantemy fioletowe i pomarańczowe, żółte i czerwone, a także chińskie dalie w kolorze modnej w zeszłym roku szminki i kruche bratki połamane przez grad. To, co mu ofiarowano, nie ma ozdób. Kanciastość i szarość, elegancja chorału gregoriańskiego, żadnych maksym. Żadnych pozłacanych pożegnań, żadnego zdjęcia w błyszczącym owalu, lekko kpiącej twarzy z małpią, powojenną fryzurą na jeża. Co najwyraźniej pamiętam

z tych wszystkich prowokujących stronic? Scenę, w której mężczyzna pluje na nagie ciało kobiety, bo go zdradziła. Co chciał mi przekazać? Coś na temat zdrady, a może kobiecych ciał? Nie mówi. Nie dostał nic ponad górski krzew, mocny akcent o ciemnym, tajemniczym listowiu. Żadnej nadziei, żadnego zatrzęsienia płatków. *I to już wszystko*, mówi, albo chce powiedzieć, ale nie może. *Jesteś tym, co czynisz. Nie oczekuj litości.* Później, kiedy wróciłam, stało tam sześć zwiędłych, prawdziwych róż w słoiku.

Chcemy tego wszystkiego

Chcemy, żeby wszystko było po staremu. Mają być drzewa, które wypuszczają liście, trzepocą nimi i je zrzucają, wody przewalające się w oceanach, ptasie pitolenia, pełzanie ślimaków, dżdżownice wsysające brud. Cynie i ich leniwa feeria barw. Chcemy, by to wszystko trwało i powracało każdego roku, jednostajne i niezwykłe, tak jak byśmy sami zachowywali się jak należy, żyli w namiotach, hodowali owce, podcinali im gardła ku czci Boga i odmawiali wynalezienia plastiku. Za niewiarę i łazienki trzeba płacić. Gdyby jedyną przynętą diabła były jabłka, wciąż moglibyśmy uważać, że dusze są naszą własnością, ale wtedy ten kutas dorzucił jeszcze wodociąg z kanalizacją, i to nas załatwiło. Teraz zużywamy mnóstwo papieru, perswadując wszystkim, że trzeba oszczędzać papier, zasypujemy morze zabójczymi kubkami po kawie i niepokoimy się słońcem i jego kontrowersyjnymi promieniami.

Kiedy się to wszystko zawali? Mam na myśli niebo; nasze sieci, nasze zawiłe pretensje. Byliśmy zbyt dobrzy w tym, co robiliśmy, w wydawaniu owoców, w mnożeniu się, a teraz za dużo oddychamy. Jemy niebezpieczną żywność, nasze gówno świeci w ciemności, a własne komórki atakują nas jak rekiny. Każdy system sam się ogranicza. Czy uratujemy się tak jak szczury? Dzięki wojnie, zarazie, klęsce głodu? Takie myśli napływają przy śniadaniu, jak sok z zamordowanych owoców. Twoja depresja, przyjacielu, to zemsta pomarańczy.

A jednak świat wciąż nas zdumiewa; nie możemy się nim nasycić, nigdy nie mamy go dość; choć wysycha, choć jego światła często mrugają i gasną (tygrysy, żaby lamparcie, trójkątne ogony nurkujących delfinów), to my je gasimy, to my, gapiący się bez sensu. Gdzie przebiega granica między miłością i chciwością? Nigdy nie wiedzieliśmy; zawsze chcieliśmy więcej. Chcemy ogarnąć to wszystko, ostatni raz, pożreć świat wzrokiem.

To lepiej niż ustami, kochanie. Znacznie lepiej.

Taniec trędowatych

Czy coś takiego w ogóle jest możliwe? Trędowaci zapewne nie tańczą, albo nie mogą tańczyć. Z drugiej strony – może jednak? Ktoś to chyba wie.

W Tańcu Trędowatych trędowaci nie byli prawdziwi. To znaczy, nie mieli trądu. Przeciwnie. Wyglądali zdrowo, silnie i młodo. Byli tancerzami. Ale udawali, że są trędowaci, a ponieważ zawsze wierzę pozorom, wierzyłam, że tak jest naprawdę.

Udawany, prawdziwy taniec trędowatych odbywał się na estradzie. Tam w górze trwało Boże Narodzenie. Muzyka była szybka, z nosowym dźwiękiem rogów i lekkimi uderzeniami bębenków. Naokoło wirowali ludzie w średniowiecznych kostiumach. Byli tam muskularni żebracy, smukłe dziewczyny w spiczastych czapkach z opadającymi welonami, dostojny książę, zmysłowa Cyganka, błazen. Kogo tylko dusza zapragnie. Ingrediencje marzeń. Romans na wynos.

Potem światło przygasło, muzyka zwolniła i weszli trędowaci. Było ich pięcioro, trzymali się nawzajem za różne części swoich zniekształconych ciał, ponieważ nie widzieli. Ubrani byli w białe pasy materiału zawinięte wokół tułowia, rąk i głów. Nie mieli twarzy, tylko ten surowy materiał.

Wyglądali jak ożywione mumie ze starego horroru. Jak żywa pościel. Jak ofiary wojny. Jak kokony. Jak ludzie, których kiedyś dobrze znaliśmy, a teraz nie pamiętamy ich nazwisk. Jak własna twarz w lustrze zaparowanym po kąpieli, chwilowo bezimienna. Jak afazja. Jak reklama bandaży. Jak sadomasochistyczne fotografie. Wyglądali erotycznie. Wyglądali jak skreśleni. Jak wczesna, smutna śmierć.

W muzyce, przy której tańczyli, dźwięczały dzwonki. Rzeczywiście trzymali małe dzwoneczki, małe żelazne dzwonki, tak mi się w każdym razie zdaje. Po to, by ostrzegać ludzi – trzymajcie się z dala od trędowatych. Albo: trzymajcie się z dala od tańca. Taniec może być niebezpieczny.

A ich taniec? Bardzo niewiele mogę o nim powiedzieć. Jedno jest pewne – nie było stepowania. Ani piruetów.

Był to taniec błagalny, taniec rezygnacji i beznadziejności. A także taniec kontynuacji, trwania wbrew wszystkiemu, uporu. Niezdarny i spętany. Płynny i wdzięczny. Niezgrabny, toporny i nieskończenie zręczny. Cyniczny i wstrętny, taniec uwielbienia, naiwny i radosny. Taniec.

Ach, trędowaci. Skoro nawet wy możecie tańczyć, dlaczego my wszyscy, cała reszta – nie?

Dobre kości

1.

Masz dobre kości, mawiali, a ja nie zwracałam na to uwagi. Cóż mnie wtedy obchodziły dobre kości? Raczej to, co je pokrywało. Raczej pożądanie i pryszcze. Kości były tłem.

A teraz kości wyrastają na coś osobnego, własnego. Ciało się zmniejsza, ustępuje miejsca twardemu podłożu. Zasadom konstrukcji. To, czego ci trzeba, to dobre światło, by ukryć zmarszczki, rzeczy przypadkowe i uboczne. Odpowiedni cień, stosowna porcja słońca, i proszę, ukazują się kości, dobre kości, wyłaniają się jak kwiaty.

2.

Kości, kości, wyschłe kości i ich dobre połączenia, wyśpiewywaliśmy radośnie przy obozowym ognisku w rytm Słowa Bożego albo naszego własnego klaskania. Za każdą twarzą, za każdym pięknym ciałem w kraciastej koszulce, miękką pupą na twardym granicie, dopatrywałam się szkieletu z Halloween, białego i jednowymiarowego, gładkiego, narysowanego kredą na tablicy, zombi, krótkiego *memento mori* wyciągniętego do spalenia, jak heretyk, ze słodkimi piankami na patyku żarzącymi się po obu stronach.

Nasze głosy szybko załatwiały się z tymi kośćmi. Ciśnięte w ognisko buchały jasnym płomieniem jak masło, a potem znikały i było po nich. *Jesteś moim słońcem*, śpiewaliśmy, choć nie do nich. Przytulaliśmy się do siebie mocniej, miękliśmy od tego jak galareta, niektórzy jakby bez kości.

Tyle o śmierci. Tyle o śmierci tam i wtedy.

3.

To jest cmentarz. Dobre kości są tutaj, złe kości tam, za murem kościoła, poza nawiasem, niepoświęcone.

Złe kości zachowywały się źle, może z powodu złej krwi, złośliwości losu, złego dzieciństwa. Nie traktowały w każdym razie swoich ciał dobrze. Spadały z nimi z krawędzi urwiska,

skakały razem z dzwonnicy. Próbowały latać. Wszystko łamały.

Dobre kości leżą wygodnie pod schludnymi nagrobkami. Ubrano je w broszki, sygnety, wiersze wyryte w kamieniu, marmurowe urny, cytaty. Pukle jasnych włosów. Były szlachetne i obowiązkowe, zasługują na to. Tak mówią o nich ostatnie słowa.

Złe kości były złe, więc lepiej o nich nie mówić. I lepiej, żeby nie mówiły. Ale nigdy nie były szczęśliwe, zawsze chciały więcej, zawsze były głodne. Potrafią poczuć zapach słów wychodzących z twoich ust, ciepłych i pachnących drożdżami. Chcą mieć jakieś słowa na własność. Wrócą.

4.

To moja przyjaciółka; te prochy, które wysypałyśmy pod tulipanami, to jej kości. Upadła na chodniku i strzaskała sobie kość biodrową. Była w niej dziura, wyżarta, jak w drzewie wyjedzonym przez mrówki. Mączka kostna.

Leżała w szpitalu, pojechałam ją odwiedzić. Jestem przerażona, powiedziała, ale to na swój sposób interesujące. Moje gówno jest białe, jak u ptaków. To wapno. Rozpuszczam się, sram kośćmi. Myślę, że to jeszcze nie najgorsze – zamieniam się w nawóz. Może coś z tego wyrosnąć.

Obie uwielbiamy ogrody.

5.

Dziś przemawiam do moich kości jak do psa. Chcę wejść na górę, mówię im. Na górę, na górę, na górę, ciągnąc jedną nogę. Czy ten niedający się określić ból jest w głębi kości? Czy to znaczy, że będzie padać? Dobre kości, *dobre* kości, zachęcam je, zastanawiając się, jak je nagrodzić, jeśli zareagują na siad, podadzą łapę, przewrócą się na grzbiet, zrobią jeszcze jakąś sztuczkę, i jeszcze jedną.

No. Jesteśmy na górze. *Dobre* kości! Dobre *kości*! Idziemy dalej.